

„Słowa kaczym piórem pięknie ułożone,
w historię zostaną scalone”

KACZE PIÓRO

*XXI Ogólnopolski Przegląd
Twórczości Literackiej Dzieci i Młodzieży*

Katowice 2015

Pałac Młodzieży

Placówka Wychowania Pozaszkolnego Miasta Katowice

„Kacze Pióro”

XXI Ogólnopolski Przegląd

Twórczości Literackiej Dzieci i Młodzieży

Cytat zaczerpnięty z wiersza Błażeja Chwaja

Zachowano wersje autorskie opublikowanych tekstów

Opracowanie tekstów i skład:

Agnieszka Nowicka

Przedmowa i komentarze do prac:

dr hab. Iwona Gralewicz–Wolny

ISBN:

978-83-923948-6-0 publikacja elektroniczna w formacie PDF

978-83-923948-7-7 publikacja elektroniczna w formacie EPUB

978-83-923948-5-3 publikacja elektroniczna na nośniku

Wydawca:

Pałac Młodzieży

Katowice 2015

Jury „Kaczego Pióra”

Przewodnicząca:

dr hab. Iwona Gralewicz–Wolny

Członkowie:

mgr Agnieszka Sowińska

mgr Agnieszka Nowicka

Fundatorzy Nagród i przyjaciele Przeglądu:

Stowarzyszenie Czasu Wolnego Dzieci i Młodzieży

Pałac Młodzieży w Katowicach

Wydawnictwo Sonia Draga

Sieć Księgarni MATRAS

Wydział Promocji Miasta Katowice

Dziękujemy, dziękujemy, dziękujemy...

Drodzy Autorzy, Drodzy Czytelnicy,

antologia to niezwykła forma literacka. Skomponowana z fragmentów tekstów różnych twórców zawsze jest przestrzenią spotkania w dwóch wymiarach. Utwory, które ją współtworzą, mówią własnym, oryginalnym głosem, a jednocześnie prowadzą ze sobą sąsiedzki dialog, co potęguje ich wymowę i wytwarza nowy artystyczny efekt. I to jest w antologii najpiękniejsze.

Antologia tekstów laureatów XXI Ogólnopolskiego Przeglądu Twórczości Literackiej Dzieci i Młodzieży „Kacze Pióro” również cieszy podwójnie. Otrzymaliśmy oto zestaw utworów, z których każdy jest niepowtarzalnym świadectwem wyobraźni i wrażliwości jego autora. Razem składają się one na budującą opowieść o radości pisania, jaka jest udziałem młodych adeptów literatury biorących udział w Przeglądzie.

Wstuchajcie się uważnie zarówno w zgromadzone tu pojedyncze głosy, jak i w wybrzmiewający po lekturze całości chór. Usłyszycie wezwanie do zwiedzenia prywatnych światów możliwych, których nie da się zobaczyć inaczej jak poprzez lekturę. Usłyszycie też zaproszenie do stworzenia swojego świata, którego reguły działania sami ustalicie, i z którego popłynie Wasz własny przekaz. Każdy z zamieszczonych w niniejszej antologii utworów jest tego żywym dowodem.

dr hab. Iwona Gralewicz-Wolny



Nagroda specjalna UWAGA „TALENT”

w dziedzinie LITERATURA

MARTA TYCHOWSKA

Z BIEDRZYCHOWIC DOLNYCH, 17 LAT

za wiersz „Tęsknota”

TĘSKNOTA

pokłóciłam się
z kolejnymi
wersami

zachłannie
prosiły
o więcej

chciały
mnie
dla siebie

do wyłącznego
użytku
przy strofie

tylko
mnie

mojej
ręki
i oka

dla równowagi

Znakomite powiązanie warstwy znaczeniowej utworu z jego formą – powściągliwą, wyważoną, przemyślaną. Intrygujący wiersz o wierszu, w którym trud tworzenia tekstu został wyobrażony jako pełen emocji spór poety z językiem. Pierwszoosobowa postać monologu dodaje „Tęsknocie” autentyczności i potęguje budowane na przestrzeni całego wiersza napięcie, którego kulminację stanowi jego ostatni wers. Wpisana w puentę „równowaga” nie tylko zamyka refleksję, ale jest też formułą opisującą utwór.





POEZJA

Wyróżnienie za wiersz

w grupie wiekowej 10-12 lat

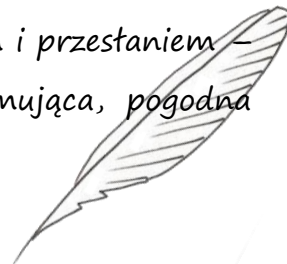
TATIANA ŁOSKOT

Z KATOWIC, 12 LAT

KALENDARZ POGODY

W rodzinie mojej prawie ok
czasem pochmurny lub jasny dzień.
Gdy mama wraca z zebrania czasem
burza, pioruny, wiele hałasu.
Gdy z moich oczu spłynie ulewa
czasem jak tęcza ptak zaraz śpiewa.
Mój brat jak wichur ostry, zimowy,
czasami mało nie urwie głowy.
Jest dokuczliwy i nieprzyjemny,
a czasem miły, lekki, wiosenny.
Próbuję zgadnąć jak dzisiaj wieje,
będzie dokuczać czy też się śmieje.
A moja babcia, ciepło południa,
gorąca miłość, czasami trudna.
Kocham ten klimat, ciepło i kwiaty
i kolorowe z bajki rabaty
Lecz gdy ją wkurzę,
powieje chłodem,
mróz ściśnie, kwiaty pokryje lodem.
Dobrze że trwa to minut kilka
zaraz jest odwilż i ciepła chwilka,
i znowu elfy tańczą na kwiatkach
W babcinym, ciepłym zakątku świata.

Wiersz wyrastający z trafnej obserwacji panujących w każdej rodzinie różnych typów klimatu, czytaj: nastroju. Dobre tempo i rytm, odzwierciedlające zmienność humorów domowników. Utwór z pomysłem, polotem i przestaniem – po każdej burzy, także tej domowej, przychodzi słońce. Ujmująca, pogodna puenta.



II nagroda za zestaw

w grupie wiekowej 16-19 lat

MARTA TYCHOWSKA

Z BIEDRZYCHOWIC DOLNYCH, 17 LAT

EPILOG
zgubiliśmy
świat
w słowach

wśród rozmytych
kart
wspomnień

przecinki
kropki
zdania

granica
czasu

znikamy
umieramy
trwamy

my
więźniowie
ostatniej strony

LETE

potrzebowałam
wszystkich
cieni

w jednym
tonie
słońca

zatartych
w pamięci
dni

niosących
echem
ciszę

po tafli
wzburzonego
nieba

osamotnionych
rysach
wybrzeży

tam
gdzie
zatrzymaliśmy świat

nie pragnęłam
mostów
dróg

zbawienia

potrzebowałam
ciebie

na drugim
brzegu



PROZA

I nagroda

w grupie wiekowej 10-12

JULIA KASPRZAK

Z DĄBROWY GÓRNICZEJ, 12 LAT

RUDA

Mój telefon wibruje. Biorę głęboki wdech (to oznaka okropnego zmęczenia) i przesuвам moje palce z klawiatury laptopa na drewniane biurko. Ledwo nimi poruszam, bo wydają się być ciężkie jak cegły. Palcem wskazującym próbuję odblokować urządzenie, kolejny wdech. Podnoszę się ostrożnie, żeby nie spaść z krzesła i patrzę na ekran. Wiadomość od Riley. Czego ona chce o tej porze?

Nie mam siły, aby otworzyć wiadomość tekstową czy tym bardziej odpisać. Zamykam mój jedyny, czarny jak smoła komputer i kładę na nim głowę. Komórka wibruje po raz drugi. Chce mi się spać...

Znowu tu jestem. U babci. Siedzę przy stole przykrytym białym obrusem. Jest ciemno, mimo to widzę kolory niektórych przedmiotów w pomieszczeniu. Panuje tu prawie absolutna cisza. Nie słyszę niczego poza tykaniem zegara. Tik–tak, tik–tak...

Obracam się w stronę drzwi. Słyszę ich skrzypienie. Ktoś wchodzi. Malutka dziewczynka w piżamce. Jest naprawdę słodziutka. Ma rude, proste włoski sięgające jej poniżej ramion i wyraziste oczka jak dwa purpurowe kryształki. Trzyma w rączce małego misia i przyciska go do siebie. Nie zauważa mnie. A może mnie tu po prostu nie ma?

Nagle budzę się. W pokoju nadal nic się nie zmieniło. Moja głowa spoczywa na laptopie, telefon leży obok, na biurku porozrzucone są kredki świecowe, pastele olejne, akwarele i pisaki. Zielona herbata jest rozlana na serwetce. Podnoszę się na rękach. Kiedy patrzę na moje rysunki, przesywa mnie dreszcz. Same koty. Kolorowe, śliczne, martwe kociaki. Każdy z nich to tak naprawdę ten sam, tylko w różnych odsłonach. Obrazki przedstawiają mojego kotka Śnieżka, który uciekł do lasu na wsi, a kiedy wrócił, nie miał jednej łapy i uszka. Śnieżek był śliczny. Biały niczym śnieg, a oczy lśniące miał jak diamenty. A teraz go nie ma, więc ja maluję. Riley mówi, że to bardzo dziwne i że powinnam przestać. Z resztą – nawet David tak mówi. Ale co jest dziwnego w tym, że maluję kotki? Martwe czy żywe, kolorowe czy czarno–białe, Śnieżek jest mój i mogę z nim robić, co tylko mi się żywnie podoba.

Dosyć przemyśleń. Wychodzę z mojego studia i tym sposobem od razu trafiam do sypialni, która jest na tyle mała, że oprócz mojego małżeńskiego łóżka – które mam całe dla siebie, żeby była jasność – i czterech zielonych ścian oraz lampki, nie ma nic. Z ramy drzwi padam na wygodne, hipoalergiczne poduszki. Przykrywam moje ciało seledynową pierzyną i zapadam w sen.

Nadal patrzę na dziewczynkę, która zmierza z pluszową maskotką do pokoju obok. Pewnie nie może spać i idzie do rodziców. Ale co robi w domu mojej babci? Nagle, zanim dotyka klamki, zegar zaczyna dźwięczeć. Wybija północ. Dziewczynka wrzeszczy tak głośno, że zatykam uszy na tyle, ile mogę, aby osłabić dźwięk. Potem rudzielec ucisza się, ale zaczyna się

głośny szloch. Chcę wyjść. Irytuje mnie to. Do tego wydaje mi się, że ona coś mówi. Coś na „Z”, powtarza to w kółko, a potem woła rodziców, którzy najprawdopodobniej śpią jak susły. Jej miś ląduje na podłodze, kiedy wybiega szybko na swoich malutkich nóżkach. Dumam przez chwilę. Co chciała powiedzieć? Dlaczego przestraszyła się i czego? Zegara? To prawda, jego tykanie zawsze mnie przerażało i śniło mi się po nocach. Tik-tak, tik-tak...

Już mam się chyba obudzić, ale ta sama, ruda dziewczynka wchodzi do pomieszczenia... ze śnieżnobiałym kotkiem. Czy ta mała, ruda beksa ukradła mi Śnieżka?!

– Ej, mała! Zostaw mojego kota! – wołam najgłośniejszym jak potrafię.

Nie odpowiada. Chyba mnie nie słyszy. Obraca się tylko dookoła i staje na kanapie, żeby sięgnąć do zegara. Ściąga go ze ściany i patrzy na niego z dziwną wyrozumiałością, jeżeli mogę to tak nazwać. Następnie obraca go i zdejmuje pokrywę. Wyciąga baterie i odkłada go na miejsce. Szepcze coś do niego. Jeszcze chwilę mu się przygląda, a następnie bierze kociaka i misia i wychodzi ze spokojem z pomieszczenia.

Kiedy otwieram oczy, siedzi nade mną Riley. Szybko się zrywam i biorę trzy głębokie wdychy. Zaskoczyła mnie.

– Dlaczego nie odpisujesz? – pyta, posyłając mi krzywy uśmiech.

Szybko przesuwam się do kąta łóżka i obgryzam paznokcie, aby to, jak zwykle, pomogło mi w wymyśleniu jakiejś sensownej wymówki. W końcu nie mogę znowu powiedzieć, że byłam zmęczona. Na Riley mi zależy. To moja jedyna przyjaciółka.

– No bo... zasnąłam! Przepraszam, ale od dawna nie zaznałam snu – mówię szybko.

– Przecież mówiłam ci, że w tym tygodniu przyjdę wieczorem. Miałam cię zawieźć do twojego wujka – wzdycha.

Przez chwilę dumam. Próbuję przypomnieć sobie moment, kiedy umawiałyśmy się na wyjazd do wuja. Nie pamiętam.

– Sarah Grundler. Skup się – podpowiada surowym tonem Riley.

Nadal nic mi nie świta. Krzywię się i siedzę w milczeniu. Schodzę z łóżka i wracam do studia. Śnieżek patrzy na mnie swoimi błękitnymi oczami. Dlaczego... Czy on się porusza? Tak!

Kotek wyskakuje z białej już kartki papieru i łasi się o mnie. Na swoich stopach czuję przyjemne ciepło. Ten Śnieżek jest bardzo kolorowy. Nie ma co prawda charakterystycznej cechy mojego kociaka z dzieciństwa, ale wszystkie moje rysunki przedstawiają właśnie jego. W wielu odstonach.

– Co ty robisz? – pyta Riley. – Czemu zachowujesz się jakbyś zaraz miała zemdleć?

Otrząsam się i każę kolorowemu kociakowi wracać do kartki. Ach, to była moja pierwsza miłość. Ekhem, to wcale nie znaczy, że teraz się w kimś podkochuję. Wcale. Faktycznie. Gdy odwracam się do lustra, widzę siebie z podkrążonymi oczami, bez żadnego makijażu, w starych ubraniach i z rozczochranymi, rudymi włosiskami, jak mawiała moja babcia. Wyglądam jak zombie. Jedyne, co sobie z tego robię, to wzruszam ramionami.

– Sarah, mam zadzwonić do twojej mamy?

O nie. Moja matka. Tylko nie ona. Nienawidzę jej. I babcia. Och, to pewnie przez nie to wszystko się dzieje.

Pamiętam ten dzień, w którym rzuciłam się na babcię z moim scyzorykiem. Powiedziała, że jestem potworem. I że nigdy nie będę prawdziwym członkiem rodziny. Kupiły mi kawalerkę, w której mieszkam od czasów, kiedy zaczęłam odwiedzać doktora White. W ogóle nie wiem, po co tam chodzę. Riley i David mówią, że on mnie wyleczy. Ale przecież ja jestem całkowicie zdrowa, więc o co im chodzi?

– Nie. Jeżeli to zrobisz, to już nie żyjesz. – grożę.

Parska śmiechem.

–Ty? Ty mi coś zrobisz? – kpi ze mnie. – Wiesz co, dzisiaj była twoja ostatnia szansa. Nie będę już twoją „przyjaciółką”. Jesteś dziwna. Mam tego dosyć.

Że co? Że niby ja? Ja jestem dziwna? Moja babka zawsze mówiła, że jestem chora psychicznie i że nie powinnam się do niej zbliżać, dlatego mnie porzuciła. Riley przecież była po mojej stronie. Zawsze mi pomagała. Chodziła ze mną do doktora, przynosiła posiłki, kiedy chorowałam. Przyjaźniłyśmy się zresztą od podstawówki. A teraz ma mnie dosyć?

– O co ci chodzi? – pytam w końcu.

Nie odpowiada. Jej oczy wypełniają się łzami, których nie rozumiem. Prycha, rzuca mi swoje klucze do mojego mieszkania, które miała na wszelki wypadek, gdyby chciała mnie odwiedzić. Wychodzi. Nie zamyka za sobą drzwi.

Ze zmęczeniem sięgam po klucze. Riley ma fioła na punkcie personalizacji. Jeden z kluczy – ten od drzwi – jest cały niebieski, ten od piwniczki – czerwony, a ten od mojej sypialni – żółty. Biorę je i odkładam pęk kluczy na półkę w kącie. Wzdycham. W końcu idę się porządnie wyspać, nawet się nie myję. Nie lubię wody. Jedyne, co mi się z nią kojarzy, to mój ojciec. A raczej jego śmierć.

Pamiętam, jak jakieś cztery, pięć lat temu poszliśmy z tatą na kajaki. Byłam już dorosła, ale i tak kochałam wychodzić z ojcem na świeże powietrze. To było jeszcze przed moim konfliktem z babką i matką. Byliśmy mistrzami w kajakarstwie, więc takie wypadki były dla nas czystą przyjemnością. Wszystko szło dobrze. Rzeka dobrze znana, okolica również znajoma. W pewnym momencie jednak prąd wodny był tak silny, że nawet mój tata nie dał rady i wpadliśmy do wody. Ojciec wyniósł mnie na ląd, ale potem...Najgorsze było to, że widziałam na własne oczy, jak brakuje mu tchu, jak umiera. Od tamtej pory cała rodzina popadła w paranoję. Płakałam przez wiele dni, a babka i matka uważały, że tata umarł z mojej winy. Dlatego teraz mnie nienawidzą, tak bardzo jak ja nienawidzę się kąpać. Ciekawe, co by się stało, gdybym utonęła, tak jak mój tata?

Idę spać. Rzucam się na moje legowisko i patrzę jeszcze na zegar powieszony na zielonej ścianie. Godzina dziesiąta szesnaście, wieczór.

Gdzie jestem? Pomieszczenie ma na swoich czterech ścianach lustra, wiele luster. Widzę siebie. Zmizerniała, blada kobietka o rudych włosach i dziwnych, jakby fioletowych oczach. W następnym widzę siebie z jakimiś tatuażami, które są namalowane długopisem. Oglądam swoją dłoń. Czysta. W następnym lustrze – też ja, ale z dyplomem ukończenia szkoły wyższej. W kolejnym – ja w kucykach. W każdym kolejnym widzę siebie coraz młodszą. Jednak ja sama w sobie nie staję się młodszą. W końcu dochodzę do dziwnego lustra, w którym nie widzę nikogo. Podchodzę bliżej. I bliżej. Dotykam opuszkami palców szyby. Nagle ktoś

wrzeszczy i w lustrze pojawia się mała, ruda dziewczynka z moich koszmarów. Patrzy mi głęboko w oczy swoim niewinnym wzrokiem.

Przez chwilę nie wiem, gdzie jestem. W końcu poznaję to miejsce. Siedzę w kajaku. Przede mną siedzi mój tata. Nie! Więcej tego nie zniosę!

Ktoś łapie mnie za ramiona.

– Ding–dong! DING–DONG! – wrzeszczy dziewczynka za moimi plecami.

Kiedy się budzę ze snu, słyszę faktyczne dzwonięcie do drzwi. Czy to znowu sen? Chyba nie.

Szybko przemieszczam się do przedpokoju i otwieram. Przede mną stoi wysoki, przystojny szatyn o przenikliwych zielonych oczach. W ręku trzyma jakieś żółte tulipany. Jestem ciekawa, po co on tu przyszedł... To znaczy, David.

– David? – pytam. – O tej porze?

Podaje mi kwiaty i uśmiecha się.

– Riley mówiła, żebym nie przychodził do ciebie w dzień – mówi.

A więc Riley go przysłała.

– Chciałem sprawdzić, jak się czujesz.

Odwracam na chwilę wzrok od prezentu i patrzę mu prosto w oczy. Wydaje się być lekko znudzony. Jakby już gardził moim towarzystwem.

Kiedyś zakochałam się w Davidzie. Nie mogłam wyobrazić sobie bez niego życia. Co prawda jest odrobinę starszy ode mnie i obecnie nie utrzymujemy już tak dobrego kontaktu jak kiedyś, to nadal coś do niego czuję. Nasz związek jest dość dziwny, bo kiedyś myślałam, że moglibyśmy być razem, ale wtedy... Znalazł sobie tą, jak ona miała... panią Shirley Spens. I od kilku lat są razem. Jedyna rzecz, która mnie dziwi to fakt, że jeszcze nie wzięli ślubu. Kocham go i jednocześnie nienawidzę. Z całego serca.

– Mogę wejść? – pyta. – Możemy porozmawiać?

– J..Jasne! – odpowiadam lekko zdezorientowana.

Prowadzę go do stolika w kuchni. Wskazuje krzesło na znak, że chcę, aby usiadł.

–Napijesz się czegoś? – pytam, wstawiając kwiaty do wazonu.

– Taaak. – mówi dziwnym tonem. – Herbaty. Może być zielona.

Kiwam głową. Sięgam do kredensu po torebkę zielonej herbaty i zalewam gorącą wodą. Opieram się na blacie rękami. Nie jestem pewna, jak zacząć z nim rozmowę. Przyszedł tu, żeby zobaczyć, jak się czuję. Niby miłe z jego strony.

– Eeem... David, masz jakąś konkretną sprawę do mnie? – pytam. – David? David...?!

Odwracam się i widzę leżącą na kanapie rudą dziewczynkę. Pojawia się wszędzie! Czego chce ode mnie?! Mam dość!

– Dlaczego mnie prześladowasz?! Odejdź w końcu! – krzyczę z przejęciem.

– Odejdę, kiedy będziesz na to gotowa – mówi swoim słodziutkim głosikiem. – No dalej, zrób to.

Dosyć. Cofam się parę kroków i biorę mój nóż kuchenny. Jest tak ostry, że przez nieuwagę kaleczę się. Jednak nie waham się dalej. Podchodzę do niej, biorę zamach i wbijam jej nóż w szyję.

Budzę się z wrzaskiem w swoim łóżku. Przerazona wstaję i opieram się o ścianę. Czyli to już koniec? Przechodzę do kuchni. Na kanapie leży David z nożem w krtani.

Co mu się stało?! Szybko cofam się i kucam przy stoliku. Przyglądam mu się dokładniej, ale jestem za bardzo wystraszona, żeby podejść. Przecież... Ja mu nic nie zrobiłam!

Uciekam. Biorę ze sobą sznurek. Jestem za bardzo wstrząśnięta. Sprawdzam jeszcze godzinę. Jest trzecia nad ranem. Wybiegam z domu bez kluczy i telefonu. Zbiegam po schodach. Udaję się do lasu na obrzeżach miasta.

Cała trasa zajmuje mi chwilę. O tej porze nie ma już żadnych aut, więc nie muszę się zatrzymywać. Mijam planty, bibliotekę oraz szpital i już jestem w lesie. Ta ciemność mnie przeraża. Na skraju znajduje się mała ławeczka, ale wydaje mi się, że wcześniej jej tu nie było. Staję na niej i obwiązuję gałąź jakiegoś przypadkowego drzewa sznurkiem, robię pętlę i wkładam w nią głowę. Wtedy przede mną pojawia się ta dziewczynka.

– Przepraszam, ale nie mogę przez ciebie spać, przyjacielu – mówi. – Muszę cię zdjąć i wyłączyć.

Głodzi mnie po włosach. Nie wiem, co się dzisiaj ze mną dzieje. Najpierw Riley wyrzeka się naszej przyjaźni, potem ktoś morduje Davida w moim mieszkaniu... Powoli dziewczynka odsuwa ławeczkę. Wiem, że zaraz będę mogła przez chwilę potykać jak zegar mojej babci. W końcu po to przyszłam. Tik-tak... tik-tak...

Z ostatniej chwili

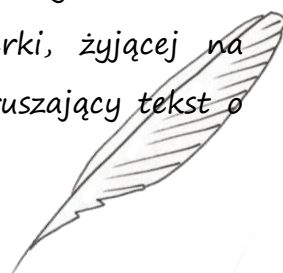
Młoda dziewczyna znaleziona martwa w lesie

Samobójstwo w pobliskim parku. Młoda dziewczyna znaleziona przez przypadkowego przechodnia. Informację otrzymaliśmy na Zdarzenia 24.

Pracownica miejskiego szpitala – pani Aya D., wracając z wczorajszego dyżuru, znalazła w lesie młodą dziewczynę powieszona na drzewie. Natychmiast wezwała pomoc. Powieszona kobieta to obywatelka naszego miasta, Sarah G. O dziewczynie niewiele wiadomo, w środowisku znana jako osoba bardzo tajemnicza i dziwna. Była malarką, prawdopodobnie od kilku lat chorowała na schizofrenię. Jej rodzina jest wstrząśnięta. Sara G. mieszkała sama. W jej kawalerce znaleziono tylko powieszona na ścianach obrazy przedstawiające kolorowe koty i porzucane na biurku przybory plastyczne. Nie znaleziono niczego, co wskazywałoby na to, że chciała popełnić samobójstwo. Czy przyczyna tej desperackiej decyzji zostanie kiedykolwiek odkryta?

A.M.

Tajemnicza opowieść, w której (na szczęście) nie wszystko staje się jasne. Krótkie, wyważone zdania znakomicie pasują do nastroju wahań i wątpliwości, w jakim znajduje się narratorka „Rudej”. Konkrety i detale świata przedstawionego przeplatają się tu z niedopowiedzeniami i sugestiami, co pozostaje w ścisłym związku z chorobą psychiczną bohaterki, żyjącej na pograniczu jawy i snu. W efekcie otrzymujemy niebanalny, poruszający tekst o oryginalnym zakończeniu.



II nagroda

w grupie wiekowej 10-12

MARTYNA SIKORA

Z RUDY ŚLĄSKIEJ, 12 LAT

ROGA DO WSPOMNIENÍ

Dawno, dawno temu pewnego deszczowego dnia radosna dziecięca duszyczka zapuściła się nad smętne wody Lete, rzeki wypływającej prosto z Podziemia. Wystarczy dotknąć tafli wody, by stracić pamięć, a jej odzyskanie nigdy nie jest łatwe. Niemal każde dziecko ostrzegane jest przed zdradliwą rzeką, ponieważ według licznych opowiadań woda ukazuje obrazy, za którymi tęsknią nasze serca i przywołują nas do siebie, jednak kiedy spróbujemy ich dotknąć, wszystkie nasze wspomnienia – złe i dobre zasnuwają się mgłą, a bez nich niemal niemożliwą rzeczą jest odnaleźć powrotną drogę do rodzinnego domu. Jeśli nie zniechęciło to małej dziewczynki, to powinna sprawić to myśl, że na smętnych szarych wrzosowiskach całymi dniami snują się duchy istot, którym nie udało się oprzeć woli rzeki i nigdy nie wróciły do domów.

Jednak małej istotki, skaczącej wesoło po śliskich kamieniach rzeki, widocznie to nie przeraziło, bo posuwała się coraz to dalej. Śmiejąc się, skakała z kamienia na kamień, aż za którymś razem jej się nie udało. Malutka spadła w lodowatą toń wody. Oszołomiona pędem rzecznej prądu straciła przytomność, a rzeka zabrała ją z sobą.

Dziewczynka przebudziła się w naprawdę dziwnym miejscu. Leżała na miękkiej, zielonej trawie obserwując złote smugi światła przebijające się przez szmaragdowe korony drzew.

Gdy udało się jej otworzyć ciemnoszare oczy, chwilę przypatrywała się tańcom promieni, a potem zadała sobie kilka nietypowych pytań, takich jak: „Kim jestem?” i „Jak się tu znalazłam?” Niestety, udało jej się tylko przypomnieć swoje imię – Charu.

Wstając z pokrytej rosą trawy, nie zdążyła jeszcze dobrze się rozejrzeć, gdy zauważyła niewielką, porośniętą bujnym bluszczem drewnianą chatkę. Natychmiast ruszyła w jej kierunku nie zastanawiając się, czy jest to bezpieczne.

Mały srebrny dzwoneczek zapiął cienkim głosikiem, zawiadamiając gospodynię o przybyciu gościa.

Przed drzwi wyszła piękna, młoda i rudowłosa kobieta. W jej seledynowych oczkach pojawiły się radosne promyczki światła.

- Witaj, widzę, że się obudziłaś – powiedziała.
- Kim pani jest? – zapytała dziewczynka.
- Oh... Właściwie to nikiem szczególnym. Nazywam się Lilith i prowadzę tutaj mały sklep.
- A co pani sprzedaje? – zainteresowała się Charu.
- Głównie zioła i przetwory z nimi związane, takie jak na przykład herbata czy lekarstwa.

– Przepraszam za te wszystkie pytania. To na pewno niezgodne z etykietą, choć szczerze mówiąc, nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek się jej uczyła... Wie pani, ja nie pamiętam za dużo. Z całą pewnością wiem tylko, że nazywam się Charu.

– Oh! – zdziwiła się Lilith – To niemal niespotykane pamiętać cokolwiek po kąpieli w Lete. Znalazłam cię na jej brzegu, gdy zbierałam kwiaty na napar. Potem przyniosłam cię tutaj. Wybacz, że nie wniosłam cię do domu, ale byłam już bardzo zmęczona, a nie przygotowałam miejsca dla jeszcze jednej istotki – z uśmiechem wyjaśniła kobieta.

– Nic nie szkodzi. Z wielką przyjemnością przyglądałam się otaczającej przyrodzie – stwierdziła Charu.

– Zakładam, że nie pamiętasz skąd jesteś, ani jak nazywali się twoi rodzice, więc może póki co chciałabyś zatrzymać się u mnie – zagadnęła Lilith.

– Chętnie popatrzyłabym jeszcze na te drzewa.

– A więc postanowione. Jest tylko jeden warunek.

– Jaki? – przestraszyła się dziewczynka.

– Musisz pomóc mi posprzątać chatkę! – roześmiała się Lilith.

Tak więc zaczęły sprzątanie. Charu była bardzo zdziwiona, ponieważ domek z zewnątrz wydawał się zdecydowanie większy. Pomogła Lily, bo tak kazała nazywać się kobieta, poukładać kryształowe lśniące flakoniki, drewniane szkatułki, a nawet posegregowała zioła. Postanowiła posprzątać troszkę w dużej drewnianej szafie. Był to naprawdę dziwny przedmiot wykonany z ciemnego drewna. Znajdowały się na nim ilustracje przedstawiające jednorożce, gryfy i inne magiczne stworzenia, a w szczególności smoki. Gdy Charu otworzyła drzwi, jakiś ciemny kształt znalazł się na jej twarzy boleśnie zadrapując ją w policzek. Kiedy dziewczynka ponownie otworzyła oczy, zobaczyła przed sobą małą, czarną kotkę drapieżnie szykującą się do skoku. Miała ona czarną mordkę i grzbiet, ale uszy i ogon były śnieżnobiałe. Jasnoniebieskie oczy z pionowymi źrenicami próbowały ocenić przeciwnika, lecz w końcu znudzona kicia wróciła do koszyczka w szafie.

– O nie! – krzyknęła Lily – Czy zrobiła ci krzywdę?

– Tylko mnie zadrapała – stwierdziła Charu.

– Całe szczęście – uspokoiła się Lily – Nazywa się Furia i trzeba przyznać, że ma charakterek. Wiedziałam, że powinna zamieszkać gdzieś indziej, ale w szafie było jej wygodnie.

– Nic się nie stało – powiedziała Charu i wróciła do sprzątanania.

Lilith pozwoliła dziewczynce przenocować i obiecała, iż postara się dowiedzieć czegoś o jej rodzicach. Niestety nikt nie słyszał o Charu.

Dziewczynka zdecydowała się na tymczasowo zamieszkać u Lily, jednak nie chciała nadużywać jej gościnności i dlatego całe dni spędzała na dworze wspinając się na wysokie drzewa i skacząc w gęstą trawę z Furią. Nim się spostrzegła minął rok. A potem następny i jeszcze jeden. Lilith nauczyła ją leczenia różnych chorób zarówno u ludzi jak i zwierząt tak dobrze, że Charu czasem zastępowała ją w zielarni.

Pewnego dnia Lily postanowiła opróżnić strych i urządzić tam pokój gościny, choć w głębi serca wiedziała, że powstanie on specjalnie dla Charu. Ustawiła w nim małe drewniane łóżko,

regał na książki, stoliczek, a nawet nowe postanie dla kotki, której najwyraźniej spodobał się nowy dom. Ściany pomalowała na śliczny błękitny kolor i ozdobiła je malowidłami białych smoków, ponieważ były to ulubione stworzenia dziewczynki. Charu interesowała się magicznymi stworzeniami. Codziennie pytała, czy Lily pokaże jej jednoroźca lub feniksa. Prowadziła nawet dzienniczek, w którym opisywała te istoty. Czasem, gdy Lily wychodziła po sprawunki, Charu wymykała się, a to by pobawić się z driadami, a to by podpatrzeć zabawne gnomy.

Mijały kolejne lata, a gdy Charu stała się już piękną dziewczyną, zaczęła zastanawiać się nad swoją przeszłością. Myślała, czy ktoś na nią czeka i czy ktoś się o nią martwi. Wciąż rozmyślała swoich rodzicach. Dobrze żyło jej się z Lily, ale czuła pewną pustkę po wymazanych wspomnieniach. Nie pamiętała swojej mamy i taty. Nie wiedziała, czy ma rodzeństwo, a nawet ile dokładnie ma lat. Urodziny świętowała w dzień, w którym rzeka oddała ją w troskliwe ramiona Lilith, która niestety nie mogła zastąpić jej matki. Dziewczyna coraz częściej wypytywała o dzień, w którym znalazła ją zielarka, jednak ta zawsze powtarzała tę samą opowieść.

Pewnego dnia, gdy Lily wyszła po sprawunki, Charu zastępowała ją w sklepie. Doradzała klientom, jaki napar wybrać na bóle kręgosłupa, a jakie zioła pomogą zmniejszyć gorączkę. Po godzinie czy dwóch do sklepu wszedł pewien zgarbiony człowiek. Wyglądał na niezwykle starego, a długa jasna broda spływała po jego torsie. Spod czarnego kaptura wystawał ostry nos i spękane usta. Gdy zdjął nakrycie, dziewczyna zobaczyła błyszczące inteligencją szmaragdowe oczy. Na lewym policzku ciągnęła się długa, ciemna blizna jakby smoczy pazur rozorał tę nieszczęsną twarz.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytała niezrażona wyglądem mężczyzny Charu. Ona też miała bliznę na policzku, choć nie tak szpecącą.

– Charu... – szepnął mężczyzna robiąc krok w jej kierunku – Moja mała dziewczynka.

– Przepraszam, ale chyba pan mnie z kimś pomylił – wydukała kurcząc się za ladą – Ale skąd zna pan moje imię?

– Jestem twoim dziadkiem – rzekł – Czy mnie nie pamiętasz?

– Nawet gdybyś nim był, nie mogłabym cię pamiętać. Jako dziecko wpadłam do Lete.

– To wszystko wyjaśnia. Dlatego nie mogłem cię znaleźć! – krzyknął.

– Skoro jest pan moim dziadkiem – zapytała ostrożnie – To czy mógłbyś mi wyjaśnić co stało się z moimi rodzicami?

– Na wszystko przyjdzie czas, lecz najpierw chciałbym porozmawiać z twoją opiekunką – Powinna za chwilę wrócić. Czy potrafi pan udowodnić mi, że jesteśmy spokrewnieni?

– Mogę nawet więcej. Potrafię przywrócić ci wspomnienia.

W tym momencie do sklepiku weszła Lily.

– Dzień dobry.

– Lily! Ten mężczyzna uważa, że jest moim dziadkiem i potrafi przywrócić mi wspomnienia! – powiedziała Charu.

– Jak to...? Czy ma pan na to jakiś dowód? – zapytała podejrzliwie Lily.

– Mam obraz Charu jako małej dziewczynki z jej rodzicami, ale zostawiłem go w obozowisku – powiedział.

– Czy możemy go zobaczyć? – zapytała Lilith.

– Oczywiście! Możemy wybrać się tam w każdej chwili! – odpowiedział nieznajomy.

– A więc chodźmy – zdecydowała Charu.

Gdy Akin (bo tak przedstawił się staruszek), Charu i Lilith przedarli się przez las, ich oczom ukazał się ciemnobrązowy namiot. Akin zaczął grzebać w wielkim skórzanym worku i w końcu wyjął z niego średniej wielkości oprawiony w solidną hebanową ramę obraz przedstawiający śliczną małą dziewczynkę, brodatego mężczyznę, czarnowłosą kobietę i przystojnego mężczyznę. Lilit zamarła. Dziewczynka z portretu faktycznie przypominała jej małą Charu, a starszy mężczyzna był kopią Akina.

– Gdzie został namalowany obraz? – zapytała Charu.

– Niedaleko naszego domu, w Smoczyczych Górach – odrzekł Akin.

– Jakim cudem tam zamieszkaliście?! – krzyknęła przerażona Lily. – Przecież te tereny regularnie nawiedzane są przez smoki.

– Nasza rodzina posiada rzadki dar, dzięki któremu jesteśmy odporni na ich ataki. Zresztą chyba sama wiesz, o co chodzi – stwierdził staruszek.

– Co ma pan na myśli? – zapytała Lilith.

– Charu – zwrócił się do dziewczynki Akin – Czy nie dziwiło cię, dlaczego Lilith nigdy nie zostawiła cię zbyt długo samej w domu?

– Myślę, że po prostu się o mnie troszczy – odburknęła dziewczyna.

– A nie przyszło ci do głowy, że bała się, iż może się wydarzyć coś złego?

– Dlaczego miałabym zrobić coś takiego?! – rozgniewała się Charu.

– Na pewno tego nie pamiętasz, ale kiedy jeszcze z nami mieszkałaś, zdarzało ci się robić coś hmm... bez zastanowienia. Czy nie zdarzało ci się nigdy zrobić coś bez udziału umysłu lub nie pamiętać wszystkiego?

– Faktycznie, czasem zdarzało mi się znaleźć w dziwnym miejscu, nie pamiętając, skąd się tam wzięłam, ale Lilith uznała to za osobliwy przypadek lunatykowania. Prawda Lily?

– Tak... – rudowłosa zdawała się być bardzo zdenerwowana.

– Jak mogłaś okłamywać dziecko?! – rozgniewał się Akin – Przecież miewasz te same problemy, kiedy rzekomo wybierasz się po zioła!

– O czym on mówi? – zapytała Charu.

– No wiesz... Niektórzy ludzie czasem zmieniają postać. Jest to dziedziczne w wielu rodzinach, a zwłaszcza w tych, których przodkowie byli magami – wyjaśniła Lilith.

– Czy sugerujesz, że moi przodkowie nimi byli? – zapytała dziewczyna.

– Myślę, że mogą być nimi nawet twoi rodzice.

Charu nie zdążyła ocenić, czy świat zwariował, kiedy odezwał się Akin.

– Śmiej twierdzić, że posiadasz podobny dar, niezwykłą umiejętność.

– Załóżmy, że jestem potomkinią magów. Jeśli tak, to w co się przeobrażam i dlaczego dzieje się to bez mojej wiedzy?

– Myślę, że to przez kąpiel w Lete. Jeśli człowiek jest świadomy transmutacji, zazwyczaj potrafi ją też kontrolować. Odpowiadając na twoje pytanie, to pierwszy raz przemieniłaś się w wieku sześciu lat i przybrałaś postać jak twoi rodzice i ja, czyli smoczego maga. Każdy gad jest inny w zależności od osoby.

– Czyli kiedy w środku nocy budziłam się na łące pełnej owiec z wyszczerzonymi zębami, to po prostu niespodziewanie znów stawałam się człowiekiem ?

– Dokładnie.

– Ale jak mam zapanować nad przemianami, jeśli nie odzyskam wspomnień?

– Właśnie dlatego musisz je odzyskać. W przeciwnym razie nie zapanujesz nad drzemiącą w tobie bestią. Musisz przypomnieć sobie czas sprzed wypadku w Lete.

– Jak mam to zrobić?

– I tu zaczyna się zabawa.

– O czym mówisz? – wtrąciła się Lily.

– Dobrze wiesz. Charu musi odnaleźć panią Lete – stwierdził Akin.

– Przecież to rzeka. Nie może mieć osobowości – powiedziała Charu.

– Każda z rzek ma swojego władcę. W tym przypadku jest to nimfa rzeczna o imieniu Venya. Na szczęście jest raczej spokojna. Największy problem stanowić będzie dostanie się do niej, bowiem zamieszkuje ona Opuszczoną Fortecę niedaleko której przepływa Lete. Jeśli zdecydujesz się na podróż, to musisz wiedzieć, że czekają nas trudne wybory i niebezpieczne próby, jedna straszliwsza od drugiej.

– Chcę odzyskać wspomnienia – zdecydowała dziewczyna – Nie tylko dla własnego dobra. Smoki nie należą do spokojnych stworzeń, a niekontrolowany może stanowić ogromne zagrożenie zarówno dla mnie samej, jak i innych ludzi i stworzeń.

– Wyruszamy jutro o świcie. Cieszę się, że cię znalazłem – powiedział starzec po czym udał się na spoczynek.

Lily i Charu wróciły do chaty. Dziewczyna na początku miała żal do rudowłosej opiekunki o zatajenie przed nią prawdy, jednak wkrótce zrozumiała, że jako mała dziewczynka zawsze marzyła o byciu księżniczką, a nie bestią.

O świcie Lilith pomogła spakować dziewczynie mały skórzany plecak, do którego włożyła przede wszystkim prowiant, a także kilka ziół i lekarstw.

O świcie czule się pożegnały, po czym Charu wraz z dziadkiem wyruszyła do Opuszczonej Fortecy.

Podczas długiej drogi dziewczyna często wypytywała Akina o wymazaną przeszłość. W czasie wspólnej podróży dowiedziała się, że jej rodzice bardzo za nią tęsknili, ale mieli jeszcze jedno dziecko, którego nie mogli zostawić. Dlatego to Akin poszukiwał Charu przez wiele lat nie tracąc nadziei. Dziewczyna bardzo chciała zobaczyć się z matką i ojcem, choć jednocześnie bała się tego spotkania. Wiedziała też, że najpierw musi odzyskać wspomnienia, co pomoże jej kontrolować bestię.

Po trzech dniach wędrówki Charu i Akin w końcu zobaczyli Fortecę. W prawdzie z tej odległości wydawała się niewielka, jednak mimo wszystko podniosło ich to na duchu.

Na tym etapie podróży zaczęło robić się niebezpiecznie. Akin i Charu musieli bardzo uważać, by nie wpaść do Lete przepływającej przez te tereny.

Jednak nie było to jedyne niebezpieczeństwo, bowiem ogromne bagna otaczające rzekę też miały chrapkę na podróżnych. Nie mniejsze zagrożenie stanowiły groźne istoty wyjące w księżycowe noce. Nieraz Akin musiał użyć swojej mocy, by odegnać krwiożercze istoty.

W końcu pokonując wszelkie trudności, Charu i jej dziadek znaleźli się pod fortecą. Była to ogromnej wielkości budowla wykonana z szarego kamienia. Zamek otaczały groźne grube mury. Jakby tego było mało, wokół fortecy rozciągała się głęboka fosa wypełniona lodowatą i zdradziecką wodą. Nie to jednak było najstraszniejsze, ponieważ pod jej tonią co chwilę przemykały ciemne długie kształty. Charu starała się nie zwracać na nie uwagi i skupiła się na wykonanym z ciemnego drewna moście zwodzonym.

Już chciała zrobić krok w jego stronę, kiedy Akin krzyknął, by tego nie robiła. Jednak było już za późno. Z fosi wynurzył się najstraszliwszy stwór, jakiego kiedykolwiek widziała Charu. Siedem paskudnych łbów utkwilo w niej drapieżne spojrzenie. Ostre, węzowe kły ociekały chorobliwie zielonym jadem, a ogromne paszcze wydawały głośny syk. Siedem krwiożerczych potworów łączyło jedne długie węzowe cielsko. Charu była zbyt przerażona, by myśleć rozsądnie. Nieświadomie przemieniła się w wielkiego skrzydlatego ciemnofioletowego gada z długimi, czarnymi baraniami rogami i pionowymi żreńcami.

Smocza postać Charu przejęła kontrolę. Zasyzczała na hydrę, po czym odgryzła jej jedną z głów. Niestety, po kilku sekundach na jej miejscu pojawiły się trzy inne. Atakując jeszcze zajadłej, węzowy stwór opluł Charu toksycznym jadem, który zaczął przepalać jej stalowe łuski. Smok runął do fosi, nie pozostawiając w niej wiele wody. Gdy zmył z siebie jad, ponownie ruszył na hydrę, której obronę utrudniła utrata wody. Teraz atakowała wolniej, choć wciąż zbyt szybko.

Na szczęście na pomoc ruszył Akin przemieniając się w smukłego, szmaragdowego smoka. Połączył siły z smoczą postacią Charu, jednak głowy hydry wciąż odrastały. W pewnym momencie walki Akin zachowując swoją ludzką świadomość zauważył, że środkowa głowa potwora wydaje rozkazy pozostałym. Wspólnie z Charu ponownie ruszył na bestię. Gdy odgryzli jej środkową głowę, na jej miejscu pojawiły się trzy kolejne, jednak było widać, że potworowi odebrano przywódcę. Łby atakowały bez żadnego konkretnego planu, co pozwoliło smokom przygwoździć ją do ziemi. Węzowe cielsko wiło się na dnie fosi, jednak Akin znów przybrał ludzką formę i przemienił hydrę w anakondę, którą dużo łatwiej było unieszkodliwić. Niestety, bestia jeszcze przed przemianą zdążyła przebić kark Charu ostrymi jak brzytwa kłami. Ból wywołał u smoczycy taki szok, że Charu ponownie stała się człowiekiem.

Teraz musieli walczyć z czasem, bo w żyłach dziewczyny krążyła trucizna, na którą odtrutkę posiadała tylko Venya.

Charu wstrząsały torsje, jednak najbardziej przeszkadzała jej szczypiąca rana po ukąszeniu. Dziewczyna nic nie zapamiętała z walki, więc podczas krótkiego odpoczynku Akin wszystko jej wyjaśnił. Charu czuła się winna atakowi potwora i pomyślała, że musi jak najszybciej nauczyć się kontroli nad smoczycą.

Wkrótce dostali się do wnętrza Opuszczonej Fortecy, w której dominował zimny, surowy wystrój, a ściany pokrywały trofea łowieckie poprzedniego właściciela budowli. Charu miała wrażenie, że wilcze i lisie łby śledzą każdy jej krok. Na szczęście Akin odnalazł pochodnię, która oświetlała im drogę. Nie mieli pojęcia, gdzie może ukrywać się Venya, ale po użyciu zaklęcia namierzającego dziadek Charu stwierdził, że znajduje się ona w najwyższej z wież.

Tak więc wspinali się po stromych kamiennych stopniach, jednak wciąż nie widzieli końca schodów. Nieustający zapach stęchlizny nie poprawiał dziewczynie samopoczucia.

W pewnym momencie wspinaczki Charu poczuła lodowaty dreszcz. Stał przed nią rycerz ubrany w srebrną zbroję. Dziewczyna nie wiedziała, czy to halucynacja wywołana jadem hydry, czy jakieś inne zwidy, jednak duch przemówił.

– Czego chcecie od Pani tej fortecy?! – krzyknął

– Jesteśmy przyjaciółmi... – wyjąkała Charu.

– Podczas poprzedniego żywota nie zdołałem ocalić mojej pani. Tym razem nie powtórzę tego błędu! – krzyknął po czym wyjął długie srebrne ostrze.

– Proszę, nie rób tego! Ja tylko chcę odzyskać wspomnienia – błagała Charu.

– Skąd mam wiedzieć, czy jesteś godna uwagi mojej Pani? – zapytał rycerz.

– To najdzielniejsza dziewczyna, jaką znam – bronił jej Akin – Jako mała dziewczynka wpadła do Lete, później wychowywała się bez rodziców, nie kontrolując swojej mocy. Parę dni temu wyruszyła ze mną w bardzo niebezpieczną podróż, stawiając czoła zmęczeniu, głodowi i pragnieniu, w czasie której pokonaliśmy hydrę. Czego jeszcze oczekujesz?! – krzyknął Akin.

Rycerz sprawiał wrażenie zmieszanego, a nawet zawstydzonego.

– Widzę, że wykazałaś się odwagą moja droga – rzekł po chwili – Niestety spostrzegłem też, że twoja siła życiowa słabnie. Myślę, że zasługujesz na uwagę mojej Pani. Zaprowadzę was do niej.

Po tych słowach wznowili wędrówkę. Mijały godziny, a Akin i Charu nadal nie widzieli komnaty Venyi. Nagle znaleźli się w okrągłej ciemnofioletowej sali ozdobionej czarnymi malowidłami. W jej centrum znajdowała się piękna srebrna klatka. Jednak ptaka w niej uwięzionego nie można było nazwać pięknym. Miał czarne krucze skrzydła, ostre szpony, zakrzywiony dziób, a jego łeb przypominał głowę sępa, którego ktoś przefarbował na czarno. Wydawał okropne chrapliwe dźwięki. Charu trudno było powstrzymać się przed zatykaniem uszu. U szpon stworzenia leżało surowe mysie mięso o okropnym zapachu. Ptak gniewnie wpatrywał się w przybyszów paciorkowymi, ciemnymi ślepiami.

– To już ostatnia próba – rzekł rycerz – Wystarczy, że zabijesz to paskudztwo, a może spotkasz się z moją panią.

– Dlaczego mam to zrobić? – zapytała Charu – Czy zrobił komuś coś złego?

– Nie, po prostu jest strasznie szpetny i moja pani nie może znieść jego widoku – odparła zjawą

– Kim jest twoja pani, że morduje niewinne istoty?! – zdenerwowała się dziewczyna – Nie pozbawię życia tej istoty mimo iż jest brzydka!

– Charu – przemówił łagodnie Akin – To tylko ptak, zresztą wyjątkowo brzydki. Nie bądź głupia, przecież chcesz odzyskać wspomnienia.

– Ale nie kosztem innego stworzenia! – krzyknęła.

Wtedy zjawa rycerza zgasła, a w jej miejscu pojawiła się piękna kobieta. Miała na sobie zwiewną fioletową suknię, a jej śnieżnobiałe włosy spływały po ramionach formując delikatne fale. Jej twarz była bardzo blada, wyglądała niemal jak duch. Oczy kobiety były bardzo piękne, choć szare i zamglone.

– Witajcie – rzekła – Nazywam się Venya i z chęcią ci pomogę. Dzięki przemianie w rycerza mogłam śledzić twoje ruchy. Dowiedziałam się już, że twoje serce bije odwagą, ale jest też czyste i dobre. Wiem też, że brakuje ci wspomnień, a hydra zatrzała twoją krew swoim jadem. Proszę – powiedziała podając jej kryształowe naczynie wypełnione błękitnym płynem – To odtrutka na jad bestii.

Charu szybko wypijała płyn. W smaku nie przypominał jej niczego, co kiedykolwiek piła, lecz zaraz poczuła się lepiej.

– A teraz podejdź tu – poprosiła Venya – A oddam ci wspomnienia.

Dziewczyna podeszła do nimfy, a ta położyła jej swoje zimne ręce na czole cicho śpiewając zaklęcie.

Nagle głowa dziewczyny wypełniła się wspomnieniami – zapachem czekolady, zabawą z braciszkiem, polowaniem z tatą i szyciem z mamą, nauką z Akinem i smoczym lataniem. Przypomniała sobie też, jak rodzice nauczyli ją kontrolować smoczą postać i od razu poczuła się pewniej.

Gdy ta fala wspomnień zaszumiała w jej nastoletniej głowie, Charu straciła przytomność.

Ponownie obudziła się w pięknej jasnej komnacie. Przy jej łóżku siedzieli Venya i Akin, jednak teraz niespecjalnie ją to obchodziło, bo wraz ze wspomnieniami wróciła tęsknota za rodzicami.

Jeszcze tego samego dnia Akin i Charu pożegnali się z Venyą i wyruszyli w drogę powrotną. Podczas tych kilku dni wędrówki wspólnie wspominali dzieciństwo Charu, która bardzo chciała zobaczyć się z rodzicami. Jednak najpierw odwiedzili Lily, która bardzo się o nich martwiła. Potem ruszyli w Smocze Góry. Charu i Akin postanowili zrobić rodzicom niespodziankę i wylądowali przed ich domem w smoczej postaci. Rodzice Charu bardzo płakali, zresztą ona sama też. Wszyscy cieszyli się, że wróciła do domu, choć jej jedenastoletni braciszek na początku jej nie poznał. Dziewczyna opowiedziała rodzinie, co działo się z nią po kąpieli w Lete. Rodzice Charu nie mogli sobie wybaczyć, że zostawili ją samą tego dnia, lecz Charu powiedziała, że teraz już wszystko będzie dobrze. Rodzice zdecydowali, że koniecznie muszą poznać Lilith. Rozmowy toczyły się przez całą noc.

Tak dziewczynka, która nie wiedziała kim jest, odnalazła rodzinę.

Poświęcona tematowi pamięci urokliwa opowieść z pogranicza baśni i fantasy. Trzymająca w napięciu historia pięknej i dobrej Charu, która utraciła wspomnienia w wodach rzeki Lete, urzeka atmosferą magii i tajemniczości. Mimo dramatyzmu niektórych scen, czytelnik czuje się bezpiecznie w wykreowanym przez autorkę świecie – baśniowa konwencja i spokojny tok narracji podpowiadają nam w trakcie lektury, że wszystko musi skończyć się dobrze.



Wyróżnienie równorzędne

w grupie wiekowej 10–12 lat

ALEKSANDRA KLUCZNIKOW

Z PAWELI MAŁEJ, 12 LAT

Zostań ze mną

Zaczerpnęłam powietrza i ruszyłam powoli leśną ścieżką prowadzącą do szkoły. Szłam jak najwolniej, rozkoszując się zapachem lasu. Tylko tu ożywałam. Tylko tu czułam się szczęśliwa. Odkąd rodzice ciągle się kłócą i nie mają dla mnie czasu, czuję się osamotniona. Nie mam rodzeństwa, ani nawet zwierzaka. Moja babcia umarła rok temu, zostawiając z nami chorego dziadka. Czasami żałuję, że się urodziłam.

W lesie było tak cicho, że słyszałam bicie swojego serca. Co chwila przystawałam, by się rozejrzeć. Chodziłam tutaj często, ale za każdym razem otwierały się nowe możliwości. Nigdy jednak nie próbowałam zbyt głęboko zagłębiać się w las, chociaż bardzo bym chciała. W jego sercu byłam tylko raz w życiu, to ojciec mnie zabrał. Od zawsze kochał naturę.

Nagle leśną ciszę przerywało ćwierkanie ptaków. Zerknęłam na zegarek. Jeszcze dwadzieścia minut do pierwszej lekcji, więc nici z wędrowki. Postanowiłam, że zrobię to, gdy będę wracać ze szkoły. Zza drzew zaczął wyłaniać się biały, ogromny budynek ze strzelistym dachem. Koniec ciszy. Wrzaski dzieci, odgłosy zamykanych drzwi, śmiechy. Oto moja szkoła.

Dzwonek zadzwonił, zanim zdążyłam się przebrać. Co sił w nogach popędziłam do klasy na historię. Pani nie toleruje spóźnień. Okrzyczy mnie. Nie mogłam tam iść i upokorzyć się przy całej klasie. Do tego nie miałam wypracowania o starożytności. Dostanę jedynekę, a i tak już jestem zagrożona. Zawróciłam i cicho podreptałam do wyjścia. Mamie powiem, że zabolął mnie brzuch. Nie wiem, czy mi uwierzy, ale jest tak bardzo roztargniona i rozkojarzona po kłótniach z tatą, że pewnie ujdzie mi to płazem i nie dostanie mi się, tak jak pół roku temu. Wiedziałam, że źle robię, ale nie mogłam tam wrócić. To byłoby stratą czasu, bo i tak nie zebrałabym się na odwagę i nie weszłabym do klasy.

Pobiegłam tak szybko, jak mogłam, by przypadkiem ktoś mnie nie zauważył. Po połowie drogi zmęczyłam się i postanowiłam odpocząć. Po kilku minutach usłyszałam szelest i odwróciłam się. Dochodził z lasu i robił się coraz głośniejszy. Poderwałam się z miejsca i rozglądnęłam gorączkowo. Niczego tam nie było. To tylko moja wyobraźnia.

I wtedy go zobaczyłam. To była jedna sekunda. Szaro-białe ciało zwierzęcia przebiegło szybko przez polanę i znów zniknęło za krzakami. Stałam jak wryta i szukałam wzrokiem tajemniczego stworzenia. Po kilku chwilach zza krzewu wyłonił się olbrzymi pies. Szedł w moim kierunku. Sparaliżowana strachem skuliłam się na ziemi, zasłaniając rękami uszy. Właśnie takiej postawy nas uczyli w szkole. Czekałam, jak stwór rzuci się na mnie, lecz nic się nie działo. Postanowiłam zaryzykować i podniosłam głowę. Ogromny potwór był parę centymetrów ode mnie. Jego czarne oczy były jak noc, najstraszniejszy mrok. Bałam się cokolwiek zrobić, bo bestia mogła się na mnie rzucić. Chyba pies wyczuł mój strach, bo zaczął warczeć.

– Spokojnie – szeptałam gorączkowo, drżąc na całym ciele. – Nic ci nie zrobię.

Zwierzę podreptało do mojego plecaka leżącego na ziemi i wygrzebało z niego chlebak. Musiałam go nie zamknąć, bo po chwili kanapka znalazła się w jego pysku.

– Zostaw to! – ryknęłam zapominając, że stoi przede mną dwa razy silniejsza bestia z kłami ostrymi jak brzytwa.

Stworzenie natychmiast rzuciło się szaleńczym biegiem i zniknęło w otchłani lasu. Zafascynowana całą tą sytuacją postanowiłam, że przyjdę tu jutro. Rodzicom nic nie powiem. Musiałam dowiedzieć się więcej o tym psie.

Gdy dobiegłam do domu, od razu skierowałam się do mojego sąsiada pana Kowalskiego, który jest leśnikiem. Wiedziałam, że mi pomoże. Podbiegłam do jego warsztatu i zastałam go, gdy rzeźbił figurki z drewna.

– Musi mi pan pomóc! – krzyknęłam zapominając o tradycyjnym: „dzień dobry”.

– Co się stało, Anita? – zapytał lekko oburzony, że przerwałam mu zajęcie.

– Spotkałam w lesie ogromnego psa bez obroży. Wiem, że pan zna tamte tereny, więc proszę o pomoc!

– Bezpański pies? Trzeba zawiadomić straż leśną! – rzucił i poderwał się z miejsca.

– Niech pan zaczeka! – wrzasnęłam. Nie chciałam, aby to zwierzę trafiło do schroniska. Nie jest dla nas zagrożeniem, to całkiem miłe psisko. – Proszę, może pan pójść tam ze mną? Wiem, że zna pan zwierzęta mieszkające w lesie.

– Ależ naturalnie, że znam! – oburzył się mój sąsiad. – Pójdę się przebrać, dołączę do ciebie.

– W porządku! – zawołałam i pobiegłam leśną ścieżką. Głód bardzo mi doskwierał, ale nie to było najważniejsze.

Pół godziny później byliśmy razem z panem Kowalskim w miejscu, gdzie pierwszy raz spotkałam psa.

– No, i gdzie jest to bydło? – rzucił mój sąsiad.

– Nie wiem – zmartwiłam się – musi tu być, nie mógł uciec daleko.

Około godziny poświęciliśmy na poszukiwania, ale bez skutku.

– Może jutro będzie.... – zaczęłam, ale pan Kowalski mi przerwał.

– Daj sobie spokój z tym zwierzęciem. Wracam do domu.

W chwili, kiedy wypowiadał te słowa, zza drzewa wychynął ten sam pies. Patrzył na nas wystraszonymi oczami, pewnie prosił o jedzenie. Był okropnie chudy.

– Do stu zepsutych śledzi, przecież to wilk! – wrzasnął pan Kowalski, a zwierzę zaczęło warczeć.

– Wilk?! – powtórzyłam z niedowierzaniem.

– Czekaj tu – polecił mężczyzna i spojrzał na stworzenie – dobrze, że nie zjadłem jeszcze butki z szynką – zaczął grzebać w kieszeni i po chwili rzucił wilkowi kanapkę. „Mojemu wilkowi” – dodałam w myślach.

Byłam wniebowzięta, gdy zwierzę pożerało jedzenie.

– Tylko niech pan nie mówi tego nikomu – zaczęłam.

– Nigdy w życiu – oznajmił przejęty – miła ta bestia – uśmiechnął się i cmoknął do wilka. – Chyba musisz wymyślić mu jakieś imię.

Spojrzałam na pana Kowalskiego i zamyśliłam się. Moja znajoma miała kiedyś szczeniaka, który nazywał się Piorun. Niezłe imię.

– Wydaje mi się – rzekł po namyśle – że to samiczka.

Spojrzałam w oczy wilczycy i roześmiałam się w głos. Stworzenie puściło się pędem wzdłuż ścieżki, a potem zawróciło. Pan Kowalski starał się wyciągnąć do wilczycy rękę, ale próbowała go ugryźć. Na zaufanie trzeba było zasłużyć. Gdy mężczyzna zrobił nagły ruch, uciekała, ale zaraz potem powracała. Pewnie myślała, że mamy więcej jedzenia. Była szybka. Szybka jak Kometka.

– Już wiem! – ryknęłam – Kometka! Będzie się nazywać Kometka!

Wyczerpany mężczyzna przystanął na chwilę, a stworzenie zawyło przeraźliwie i rzuciło się przed siebie.

– Słyszysz to? – wyszeptał pan Kowalski. Parę wystrzałów zagłuszyło ciszę. – To myśliwi. Dlatego ucieka.

– Nie zabiją jej? – zapytałam z nadzieją w głosie.

– Nie mogę ci tego obiecać.

Spojrzałam z przerażeniem w las.

– Nie może zginąć!? Słyszysz pan?! Weźmy ją do siebie... Wymyślmy coś!

– Pomyśl, Anita – rzucił mój sąsiad. – Nie będziemy zabierać wilczycy do domu. To jest jej dom. Las, natura. Tu powinna zostać.

Spojrzałam po raz ostatni w głąb lasu, w miejsce, gdzie po raz ostatni zobaczyłam Kometkę.

Na drugi dzień, drogę powrotną do szkoły poświęciłam na poszukiwania wilczycy. W połowie drogi przystanęłam i wyciągnęłam kawałek kurczaka, który udało mi się podkraść mamie. Po chwili usłyszałam dość głośny szelest, jednak nie dobiegał on z jednego miejsca. Z każdej strony lasu zaczęły wyłaniać się wilki. Nie były przyjaźnie nastawione, o czym świadczyło ich warczenie. Niektóre wyglądały tak, jakby zaraz miały się na mnie rzucić. Na końcu watahy powoli, lecz pewnie kroczyła Kometka. Miała charakterystyczne białe odmiany na łapach i pysku. Ona jedyna nie warczała, lecz wydawało się, jakby starała się ukryć pośród zwierząt. Na przedzie dzielnie dreptał największy, czarny wilk. Prawdopodobnie samiec alfa. Kierował wszystkimi i taranował krzewy. Zbliżał się do mnie centymetr po centymetrze. W mojej głowie dudniły słowa: *Uciekaj, uciekaj! Uciekaj!* Wiedziałam jednak, że gdy rzucę się do ucieczki, one pobiegną za mną. Dopiero po czasie domyśliłam się, o co im chodzi. Mój kurczak. Był co prawda jeden, trafiłby do przywódcy.

Pośpiesznie rzuciłam jedzenie i pobiegłam dalej, wciąż obserwując sytuację. Miałam rację – największy, czarny wilk pochłaniał kurczaka i po chwili zdobyczy już nie było. Wilki chciały więcej. To nie koniec. Spocona, zmęczona i wystraszona pobiegłam co sił w stronę domu. Nie oglądałam się za siebie. Moje nogi nie uderzały w ziemię równo. Nie słyszałam niczego poza głośnym dudnieniem. Błoto pod moimi stopami wyglądało jak bagno. Po 400 metrach szybkiego biegu byłam zmęczona, ale to nie utrudniało mi biegu, a wręcz przeciwnie – motywowało do jeszcze szybszej ucieczki. Nagle potknęłam się o coś i w mgnieniu oka moje

ręce wysunęły się mimowolnie przed siebie i boleśnie upadły na ziemię, a wraz z nimi moja twarz. Podniosłam głowę i przez chwilę byłam zaślepiona błotem, więc szybkim ruchem zgarnęłam z oczu paskudztwo. W ustach poczułam lepki maź. Splunęłam na ziemię i obejrzałam się za siebie. Niczego tam nie było. A może... może było? Może byłam tak roztrzęsiona, że głowa płała mi figle? Nie wiem.

Poderwałam się i zaczęłam biec. Tak na wszelki wypadek. Przed furtką zorientowałam się, że jestem cała w błocie. Zajrzałam do plecaka i wstrzymałam oddech. Było tam tylko parę książek. Nagle wstrząsnął mną dreszcz. Wszystkie moje zeszyty zgubiłam w ucieczce przed watahą. Jak matka się dowie... Jak się dowie to... Nie wiem, naprawdę, nie wiem co! Czułam się, jakby coś przykuło mnie do trawnika. Nie mogłam się ruszyć i po raz kolejny z moich oczu popłynęły łzy. Jedna upadła mi na rękę. Była brudna. Brudna od mazi, którą miałam na twarzy. Czułam się tak, jakbym miała wymiotować. Bolał mnie brzuch i kręciło mi się w głowie. Drżącą ręką zapukałam do drzwi mojego domu. Otworzyła mi matka – jak zwykle miała podkrążone oczy i zmęczoną twarz.

– Coś ty taka brudna, Anita!?! – wrzasnęła, a z jej ust czuć było ohydny fetor alkoholu.

To moja matka pije? Czy cały czas to robiła, gdy byłam w szkole, a potem mówiła, że idzie na spotkanie? Nienawidzę jej. Zacisnęłam ręce w pięści. Nienawidzę, nienawidzę! Wiedziałam, że nie mogę tak myśleć, bo to przecież moja mama. Ale do czego ona się doprowadziła?!

– Wynoś się stąd! – wyjęczała, a potem wzięła mój plecak i rzuciła nim o podłogę.

Nie wytrzymałam. Wybuchnęłam płaczem i pobiegłam sprintem za dom, gdzie była szczelina, przez którą przechodziłam czasem do pana Kowalskiego, gdy matka zabraniała mi wychodzić z domu.

Mój sąsiad jak zwykle siedział w warsztacie, ale tym razem robił domek dla ptaków.

– Dzień dobry – zagadnęłam i przejechałam wzrokiem małą chatkę pana Kowalskiego. Tak samo jak ja – był samotnikiem i nie miał nikogo.

– Jak ty wyglądasz! – wykrzyknął i spojrzał na moją brudną twarz. Wtedy poczułam że jestem z patologicznej rodziny – brudna, głupia i zaniedbana. Powoli zaczynałam się wstydzić samej siebie.

– Widziałam watahę wilków – powiedziałam, ignorując poprzednie słowa mojego sąsiada – wśród nich była Kometa!

– Świat staje na głowie! – krzyknął mężczyzna. – Idź lepiej się umyj, potem wszystko mi opowiesz.

Spojrzałam w jego oczy, ciemne i puste, bez żadnego wyrazu, w których zaczęły powoli pojawiać się iskiereki.

– Matka mnie wygoniła – wysepleniłam żałośnie.

Pan Kowalski zmarszczył brwi.

– Zawsze była dziwną kobietą. Bez urazy.

– W porządku – mruknęłam i zaczęłam nerwowo gnieść koszulkę.

– Wiesz co – zaczął pan Kowalski – chodź, umyj się u mnie.

– Dziękuję! – krzyknęłam, bo było to jedyne słowo, które przychodziło mi do głowy.

Pan Kowalski zaprowadził mnie do łazienki i po chwili byłam już czysta. Czułam, jak rodzi się we mnie nowe ja. Nie będę teraz samotną nastolatką, strachliwą i podporządkowaną matce. Zaczęłam nowy etap w moim życiu i sądziłam, że mój sąsiad w wielu rzeczach mi pomoże. Choćby w znalezieniu Komety.

Zaprowadziłam go do miejsca, gdzie widziałam watahę. Nie odrobiłam zadania domowego i nie miałam zamiaru go odrabiać, choć wiedziałam, że powinnam. Obok ogromnego głazu dostrzegłam ciało wilka. Razem z panem Kowalskim dokładnie je obejrzelśmy. Na szczęście to nie była Kometa.

– Patrz! – syknął mój sąsiad i wskazał palcem dziurkę w brzuchu wilka. – Ktoś go postrzelił.

Przyjrzałam się ranie i zmartwiłam się. A co, jeżeli Kometa też nie żyje? Nawet jeśli byłam w błędzie, to i tak wilczyca jest zagrożona. Próbowałam odsunąć od siebie tę myśl, ale nie dawała mi spokoju.

– Musimy się dowiedzieć, kto zabija wilki – powiedziałam. – Musimy znaleźć Kometa.

– Obowiązkowo, bo mam dla niej kawałek mięsa – przytaknął pan Kowalski.

– Świetnie – mruknęłam i uśmiechnęłam się słabo.

Rozejrzeliśmy się i po chwili usłyszeliśmy wycie wilka. Było tak blisko, że przeszedł mnie dreszcz.

– Kometa! – ryknęłam wymachując kawałkiem mięsa.

Tak, jak sądziłam – zza krzaków wybiegła wilczyca z odmianami na pysku. Tak, to była Kometa. Rzuciłam jej kawałek wołowiny, a wilczyca złapała go w locie. Wyciągnęłam do niej rękę. Byłam świadoma, że może mi zrobić krzywdę, ale nie cofałam jej. Kometa polizała moje palce przyjaźnie. Zebrałam się na odwagę, by ją pogłaskać. Przez chwilę kuliła się, ale stopniowo nabierała pewności siebie. Dokładnie tak jak ja w stosunku do niej. Byłyśmy podobne. Na tę myśl uśmiechnęłam się mimowolnie.

Na drugi dzień wybiegłam ze szkoły i pomaszerowałam uśmiechnięta przez las. Nagle usłyszałam wystrzał. O nie... Pobiegnęłam przed siebie i gorączkowo nawoływałam wilczycę. Odpowiedziało mi głośne, pełne bólu wycie.

– O nie, błagam! – wyszeptałam i zalałam się łzami.

I nagle zauważyłam, skąd pochodzi. Pobiegnęłam w głąb lasu wyszukując wzrokiem wilczycy. I zobaczyłam.... ciało wilka. Mojego wilka! Leżało bezradnie na trawie. Kometa miała otwarte oczy.

– Błagam! – ryknęłam. – Błagam!

Wilczyca spojrzała na mnie wystraszonymi oczami, jakby mówiła: *nie martw się*. Po chwili jej oczy jakby popłynęły do góry. Powieki się zamknęły.

– Nie!!! – wrzeszczałam dopóki nie straciłam głosu.

Położyłam sobie jej głowę na kolana. Nie, to nieprawda. To sen, w którym byłam uwięziona. Zauważyłam że ręce miałam wymazane krwią, ale nie przeszkadzało mi to. Wybuchnęłam płaczem.

– Anita! – usłyszałam głos pana Kowalskiego.

Szybko podbiegł do mnie objął mnie ramieniem. Z mych oczu popłynęła łza i wylądowała na ciele Komety.

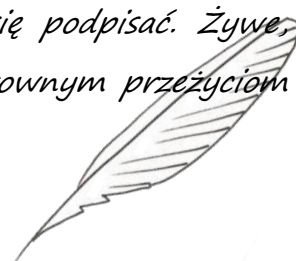
– Ona... – zaczęłam, ale nie wiedziałam jak dokończyć zdanie, więc milczałam.

– Wiem – mruknął pan Kowalski.

Schowałam twarz w jego ramionach by dać upust swej rozpacz.

Oto moja historia. Musiałam pogodzić się z rzeczywistością. Musiałam pogodzić się z tym, że życie to nieunikniona męka, walka ze swoimi słabościami. Dziś satysfakcję sprawia mi to, że nie każdy mógł zdobyć zaufanie wilka, a mnie się to udało.

Pełna emocji opowieść o spotkaniu człowieka i wilka. Dla narratorki opowiadania okazało się ono bolesną lekcją życia, dla czytelników zaś może stać się okazją do refleksji nad sposobem, w jaki odnosimy się do świata natury. Tytuł „Zostań ze mną” wypada uznać w tym kontekście za kierowane do przyrody wezwanie, pod którym przynajmniej część z nas zechce się podpisać. Żywe, umiejętnie prowadzone dialogi, dorównujące tempem gwałtownym przeżyciom bohaterki, oraz poruszające, dramatyczne zakończenie.



Wyróżnienie równorzędne

w grupie wiekowej 10–12 lat

Michał Hoffmann

z Katowic, 12 lat

S-F

Statek z cichym skrzypieniem wylądował na lądowisku jednej z planetoid w pasie Kuipera. Po chwili zaczęły się z niego wysypywać czarne postacie, z automatami w rękach, bezszelestnie przechodząc na wyznaczone wcześniej pozycje. Na końcu ze statku wyszedł dowódca, ubrany tak jak pozostali. Jedynie po postawie stojącej można było wywnioskować że jest to ktoś wyższy rangą. Po wyjściu całej załogi myśliwiec przeszedł w tryb kamuflażu. Potem wszyscy poszli głównym korytarzem, w głąb kosmicznej stacji Generała O`Britina. To on był ich głównym celem. Mieli uprowadzić go i jak najwięcej osób z jego rodziny. Oddział składał się z 23 żołnierzy komandosów i jednego bardzo młodego szeregowego, który został wzięty na swojego rodzaju „praktyki”. Wszyscy mieli po automacie, ale tylko dwóch było ciężiej uzbrojonych. Jeden miał działko jonowe, a drugi CKM. Musieli zminimalizować wagę statku, by mógł wejść w hiperprzestrzeń. Szli korytarzem, ale nagle spotkali dwa androidy. Nie były ciężko uzbrojone, tylko zwykły pistolet wystawał z kabury jednego z nich. Dwie krótkie serie i oba leżały w kałuży oleju. Po trzystu metrach spotkali droida wyposażonego w pole siłowe. W bazie zwali go Speedo ze względu na jego mobilność i szybkość, z jaką wystrzeliwał kolce ze wszystkich stron. Tu wystarczyły dwa granaty i zakłócacz pola. Problemy zaczęły się dopiero za pierwszym rozwidleniem, okazało się że było tam kolejne nie oznaczone na planie!

- Co robimy?
- Myślę że musimy się rozdzielić – szepnął dowódca.
- Nie radzę, tylko razem jesteśmy w stanie pokonać...

Lecz zanim zdążył skończyć usłyszeli dziwne odgłosy. To Magnus patrolował korytarze!

- Wszyscy w szczeliny!

Faktycznie, w miejscu gdzie się zatrzymali znajdowało się połączenie segmentów stacji, co dawało dużo szczelin, w których można się ukryć. Kiedy ostatni żołnierz zdążył się ulokować i przygotować broń, nadszedł Magnus. Był to stwór wielki i głupi. Umiał tylko wykonywać rozkazy, dlatego był wykorzystywany do ochrony stacji. Stwór zaczął węszyć. Jego gęsta, czarna grzywa poruszała się nerwowo. Gdyby odkrył załogę nie byłoby dla nich ratunku; powybiłaby ich swoimi długimi i twardymi jak stal pazurami.

- Przygotować działko jonowe – rozkazał dowódca.

Potem wszystko potoczyło się gładko. Żołnierz z działkiem wyskoczył z tyłu stwora i ogłuszył go strzałem. Inny, z ciężkim CKMem ulokowanym przedtem z drugiej strony, strzelił prosto w pysk potwora. Posoka bryzgała na wszystkie strony, a poczwara zsunęła się na ziemię. Teraz po głośniejszym strzelaniu nie było się po co kryć. I tak znalazłyby ich siły generała. Ruszyli truchtem w kierunku, z którego wyszedł Magnus. Po chwili dotarli do szerokiej komnaty. Wypełniona była lasem. Takie rzeczy były zarezerwowane dla bogatych, ponieważ cena nasion drzew oraz ziemi osiągała niebotyczną wysokość. W takich zagajnikach dowódca

i biznesmeni wypoczywali po ciężkich dniach pracy. Tu też dorastały i bawiły się ich dzieci, czego nie można było zapewnić potomstwu ludzi o przeciętnych zarobkach. Kiedy byli w samym centrum lasu pojawił się orszak pełen przepychu. To szedł sam Generał z rodziną! Otoczeni byli przez 3 Magnusów, kilkudziesięciu droidów i setkę androidów. Dowódca wydał rozkaz.

– Na drzewa!

Po chwili żołnierze wykonali polecenie. Ustawili się w ustalony sposób – po trzech ludzi na drzewie, by w razie przewalenia jednego z drzew nie zginęli wszyscy. Kiedy orszak zatrzymał się, był dokładnie pod nimi.

– Wszyscy broń do ręki – zabrzmiało w słuchawkach każdego z żołnierzy – Ciężko uzbrojeni zostają na górze, ci lżejsi za mną! – powiedział zsuwając się w dół.

Rozgorzała walka. Większość drzew została powalona, a dwóch Magnusów zostało nimi zgniecionych. Z góry posypały się granaty, Generał został otoczony przez oddział, a jego wojska zostały zniwelowane. Nie obyło się bez ofiar. Zginęła ponad połowa żołnierzy, a paru zostało ciężko rannych. Cel misji został jednak osiągnięty, pochwycono generała z rodziną. Najmłodszy żołnierz umierał. Podczas starcia został raniony przez jednego z przeciwników. Rana była tak poważna, że nawet gdyby zdążyli go przetransportować na statek, i tak nie dało by się go uratować.

– Zostawcie mnie... ..tutaj – z trudem udało mu się wyksztusić te słowa.

– Nigdy! Jesteś członkiem oddziału!

– Będę dla was tylko zbędnym ciężarem – żołnierz dogorywał.

Po chwili naprędce podłączony zestaw leczący pokazał brak pulsu. Wszyscy, nawet najtwardsi z nich płakali. Sądzieli, że mogli zapobiec jego śmierci. Ale tak nie było. Młody komandos sam wybiegł przed szereg, myśląc że tak może pomóc swojemu oddziałowi. Faktycznie, to on granatem powalił drzewa, które przygniotły Magnusów. Dzięki niemu wygrali.

– Zostawić bombę, wysadźmy tą bazę.– Bomba miała pogrzebać pod gruzami największą fabrykę androidów przeciwnika znajdującą się pod częścią mieszkalną bazy. Przez korytarze prowadzące do statku niemalże przebiegli. Musieli się spieszyć. Zaraz niedobitki z otoczenia generała wszczynały alarm. Chwile przed tym jak dobiegli do statku, zaczęły wyc syreny. Szybko dostali się na statek, a generał z rodziną zostali uśpieni, by nie mogli poznać lokalizacji bazy. Teraz trzeba było pomyśleć o ucieczce. Brama lądowiska zaczynała się zamykać...

– Ile jeszcze! – krzyczał generał – Musimy uciekać!

W końcu wystartowali. Lecz gdy chcieli przelecieć przez zaporę było już na tyle wąsko, że urwała się im antena komunikacyjna i detektor hiperprzestrzeni.

– Straciliśmy kontakt z posiłkami! I detektor!

Teraz zdani byli tylko na siebie. Sojusznicze statki, które ukrywały się niedaleko, nie mogły zostać wezwane. Nie mogli też wejść w hiperprzestrzeń. Musieli powoli lecieć do bazy. Za nimi ze stacji startowały coraz to nowe statki udające się w pogoń, które powoli się zbliżały zaczynały się zbliżać...

– Ile do bazy?! – zdenerwował się dowódca.

– 5 parseków, przewidywany czas bez napędu hiperprzestrzennego: pół godziny – odparł pilot.

– Załoga do dział! – padła komenda i wszyscy przeszli na tył statku.

– Nie oddamy generała bez walki! – wszyscy potwierdzili to polecenie okrzykiem: – Nie oddamy!

Przez pierwsze parę minut nic się nie działo. Myśliwiec był wyposażony w działka dalekiego i bliskiego zasięgu oraz laser o wielkiej mocy ale małej szerokości więc musiał być sterowany za pomocą komputera. Niestety by uniknąć przeciążenia spowodowanego zabraniami na pokład rodziny generała musieli go zostawić w bazie. Sam laser zabierał też bardzo dużo mocy, która w tym wypadku musiała być wykorzystana, na jak największą prędkość. Kiedy na celownikach pojawiły się statki przeciwnika, załoga otworzyła ogień. Zanim wrogie pościgi zbliżyły się przetrwała tylko połowa statków. Kiedy byli w połowie drogi drugi komplet działek musiał strzelać. Wtedy, też osłony statku zaczęły się przydawać. Kiedy przeciwnicy znaleźli się w odległości stu metrów największy ze ścigających pojazdów otworzył ogień ze swojego działka dziobowego. Było to działko o niebywałej mocy, zaprogramowane i stworzone tylko do jednej rzeczy: niszczenia. Jedynym jego minusem było to, że musiało się długo nagrzewać.

– Zniszczyć ten statek! – dowódca był nie mniej zdenerwowany od reszty załogi.

– Próbowałem – powiedział operator działka o największej mocy – Ma za silne osłony.

– Próbuj do skutku – padła odpowiedź. Dopiero kiedy działko rywała kończyło ładowanie dowódca zmienił zdanie. Zwrócił się do pilota.

– Hamuj, a potem zaraz przyspiesz do maksymalnej prędkości.

Rozkaz, mimo że wydawał się absurdalny został wykonany. Zaraz po tym jak wszystkie wrogie statki zostały z przodu załoga zaczęła strzelać w głównego przeciwnika. Z tyłu miał słabszą osłonę i w krótko udało im się go zniszczyć. Chociaż bezdźwięczna, eksplozja wyglądała spektakularnie. Odłamki uderzyły w statek, i niemalże go uszkodziły. By uciec, musieli pozbyć się wszystkich zbędnych rzeczy. Po chwili chmara przedmiotów, broni i zbędnej w tej chwili amunicji do walki w ręcz wyleciała z tyłu statku, przy okazji poważnie uszkadzając lub niszcząc pięć ścigaczy. Teraz ostatnie pojazdy pogoni bombardowały myśliwiec, który odgryzał im się tym samym. Wkrótce jednak wszyscy przeciwnicy zostali zniszczeni.

– Uszkodzenia poważne. Moc silników: 20 procent – odezwał się metaliczny głos podsumowujący koszty starcia.

– Damy radę? – ze wszystkich stron szeptem padały pytania.

– Oczywiście. Radzę spokojnie się rozsiąść. By dolecieć, musimy zejść na prędkość podświetlną. Wszyscy szybko opadli na fotele. Część pozasypiała, gdy zdarzyło się coś niespodziewanego.

W celi Generał się obudził. Kiedy zorientował się, gdzie jest i powoli zaczynał wracać do pełnej władzy w kończynach i w umyśle, dobudził resztę swojej rodziny.

– Życie?– odezwał się szeptem. Wszyscy zgodnie pokiwali głowami. Tylko żona Generała nadal była nieprzytomna. Podczas bitwy została ranna i żołnierze dali jej opatrunki, ponieważ chcieli dowieźć ją do stacji żywą.

– Katrina żyjesz? – Generał bardzo się o nią niepokoił.

Nie było odpowiedzi. Szybko podszedł do niej. Cała jej ręka była jedną, wielką raną. Musiała dostać pazurem jego własnego Magnusa. Lecz teraz trzeba było pomyśleć o ucieczce. Rozejrzał się. W więzieniu w którym go zamknięto panował półmrok. W kącie stały miski z wodą i jakimiś owocami.

– Jednak nie chcą nas zagłodzić – pomyślał.

Za solidną kratą leżały ich rzeczy osobiste. Sztylety, pistolety i dokumenty, które każdy z nich trzymał zawsze przy sobie. Z drugiej strony była ściana, zwykła metalowa ściana jak wszystkie na tym statku.. Popatrzył na sufit i to on przyciągnął jego uwagę. Miał otwór wentylacyjny. Niestety był on za mały by się do niego mógł wśliznąć. Ale może któryś z jego synów?

– Antonio! – zawołał syna.

– Tak ojczy?

– Podsadzę cię, a ty wślizgnij się do tego otworu. Potem powiem ci co robić dalej – kiedy jego syn, był pod samym otworem złapał za kratę. Uwiesił się na niej i po chwili trzymał ją w dłoni.

– Tato łap!

– Trzymam. Teraz, kiedy tam wejdiesz przejdź dalej i kiedy będziesz poza celą, zejź i odbierz klucze jednemu ze strażników .

Antonio zastał strażników śpiących. Gdy zabierał klucze, przewalił kubek jednego z nich. Z kabiny odezwały się głosy.

– Słyszałeś?

– To pewnie Murphy, on nie umie nie ruszać się we śnie.

Antonio zamarł. Ojciec uczył go jak się skradać, więc teraz wykorzystywał całą swoją wiedzę, by dotrzeć do celi. Kiedy wrócił z trudem powstrzymał okrzyk. Jego mama zmarła! Leżała i nie oddychała. Tym bardziej chciał ją pomścić. Kiedy otwierał cele rozległ się alarm. Drzwi były zabezpieczone! Cała załoga zerwała się na równe nogi.

– Generał ucieka! – wszyscy pobiegli w kierunku celi, ale generała już nie było. Została tylko jego żona.

– Nie żyje – stwierdził jeden z nich przykładając rękę do jej szyi.

– Bronić kokpitu! – padła komenda. Po drodze znaleźli dwa trupy swych towarzyszy, którzy nie zdążyli się ocknąć zanim ich zabito. Do sterowni było już blisko.

– Zaryglowane!

– Statek jest przekierowywany! Trzeba szybko odzyskać kokpit! – wszyscy się rozbiegli. Po chwili pod nogami dowódcy znalazło się parę rzeczy. Drabina, liny, maski gazowe i jeden granat.

– Wy dwaj – generał wskazał na żołnierzy – Musicie rozpylić w powietrzu gaz pieprzowy i szybko wrócić.

Nim skończył komandosów nie było. Powietrze zaczęło się robić białe od gazu.

– Maski na twarze! – rozkaz został wykonany

– Zniszczyć drzwi – kiedy dwaj żołnierze przybiegli reszta mocowała granat na drzwiach i ustawiała stanowisko ogniowe naprzeciwko wrót. Kiedy ładunek wybuchł, otworzyli ogień. Nie mieli wiele pocisków, więc musieli oszczędzać amunicję. Gdy dym się rozwiął, ukazał im się makabryczny obraz. Cztery ciała leżące na ziemi. Tylko Generał przeżył, choć był ciężko ranny.

Dalsza podróż obyła się bez większych niespodzianek. Statek z załogą spokojnie doleciał do bazy. Tam oddali Generała swoim przełożonym. Jakiś czas po akcji odbył się proces.

Dwa uderzenia młotka sędziego ogłosiły początek rozprawy.

– Skazany, Generał O`Britin zostaje oskarżony o następujące przewinienia – wyczytywanie ich trwało dobre pół godziny. Faktycznie, Generał z jego sługami zabili dziesiątki tysięcy ludzi i większość zagrożonej wyginięciem rasy Fizz. Proces trwał nieprzerwanie przez trzy dni. Jako świadkowie zgłosili się wszyscy z oddziału, który porwał Generała z jego stacji. Generał przegrał proces i został stracony. Wszyscy, którzy przeżyli akcję dostali specjalne odznaczenia, a ich służba została hojnie wynagrodzona. Mimo tego, że mieli już wystarczająco pieniędzy do końca życia, większość wróciła do wojska.

Opowiadanie konsekwentnie utrzymane w przyjętej przez autora konwencji science-fiction, napisane sprawnie i z dbałością o szczegóły, nie tylko techniczne. Szybki rozwój toczących się w świecie przedstawionym wypadków oddają równie dynamiczne, oparte na krótkich kwestiach dialogi. Opisywane sceny nie tylko przemawiają do wyobraźni czytelnika, ale wręcz proszą się o sfilmowanie.





I nagroda

w grupie wiekowej 13–15 lat

Julia Maroszek

z Pszczyny, 14 lat

Kronika martwych skrzydeł

Wieczna jesień liczyła czas ilością złotych liści. Każde drgnienie wiatru niosło ze sobą sekundy, pchało naprzód ospałe wskazówki zegarów. Ludzkie rozmowy zastąpił nieustanny turkot maszyn. Pociągi parowe, niestabilne koła zębate, świat w brązach miedzi – wszystko to, było desperacką próbą podporządkowania sobie niezłomnej siły żywiołów.

Po brukowanych uliczkach przechadzały się kobiety, zamknięte w skórzanych gorsetach. Każdy zakątek miasta wyposażony był w ozdobną katarynkę, obsługiwaną przez przemiłego pana, w zamszowym, kasztanowym cylindrze. Wszystko kręciło się w swoim, klekoczącym tempie.

Miastowy Kronikarz z powściągliwością pokonał kolejny zakręt. Drewniana laska stuknęła w rytm spokojnych kroków, na jego twarzy widać było wyraźne zdegustowanie. Obojętnym wzrokiem błędził po otaczających go budynkach, starając się nie dopuścić do świadomości nużącej już melodii. Dzień w dzień pokonywał dokładnie tę samą trasę, nie miał czasu na zmiany w grafiku. W końcu każda różnica ciągnie za sobą następną, a w przypiływie inności życie w jednej chwili staje w niewygodnym nieładzie.

– Profesorze! – Blondwłosa chłopak w ostatniej chwili uskokzył przed ciągnącym dorożkę gniadoszem, zwinnie zmieniając tor biegu. Omal nie upuścił trzymanego w rękach pakunku, przez co po jego plecach przeszedł nieprzyjemny, zimny dreszcz.

– Proszę zaczekać! – krzyknął ponownie. W ostatniej sylabie wypowiedzianych przez niego słów można było usłyszeć nutę przeraźliwej desperacji. Robocze gogle złośliwie zsunęły się z jego czoła znacznie ograniczając widoczność. Na jego (nie)szczęście głuchy gruchot i mlask zderzenia dłoni z policzkiem, w przeciwieństwie do nawoływań, zdołały zwrócić uwagę Mistrza.

Pierwszy plan zaistniałej sceny zajmował złamany wpół, kawiarniany stolik i niemałej urody kobieta, której koszula przeszła bliskie spotkanie ze sporą ilością kawy. Młody mężczyzna w krótkiej chwili zdążył pozbierać się z ziemi, śląc masę przeprosin w kierunku zbulwersowanej przedstawicielki płci przeciwnej. Próby zdobycia przebaczenia poszły na marne, a wypruty z sił chłopak oparł się o ceglany mur, przykładając dłoń do piekącego policzka.

Kronikarz, znany również jako Warren Jefferd odwrócił się, śląc do młodzieńca pełne dezaprobaty spojrzenie. Chwycił laskę za złoconą gałkę, drewnianą częścią szturchną leżące niemalże u jego stóp zawiniątko, które, sądząc po przerażeniu w oczach swojego ucznia, wcale nie powinno tam leżeć. Z białej tkaniny wysunęło się bezwładne, ptasie skrzydło.

– Gdzie go znalazłeś? – mruknął Jefferd, zakładając monokl – Chociaż nie uzasadnia napadu na mój czas wolny – warknął – mamy kolejną kukułkę. – Na jego twarzy niespodziewanie błysnęła uśmiech, wahający się między ironicznym grymasem, a przejawem

napływającej goryczy. Wokół zdemolowanego stołu robiło się coraz większe zbiorowisko, ze środka bardzo klimatycznej kawiarenki wybiegła zdeorientowana, starsza kobieta. Wszystko wskazywało na to, że była jej właścicielką. Warren przewrócił oczami, odwracając się na pięcie:

– A teraz chodź już, do cholery, zanim ktoś każe ci to posprzątać.

Dzielnica pod dumną nazwą Mae'r słyęła z ogromnych ilości opadów. Wypełniające ją kamienice były niemalże całkowicie przeszklone, a przestrzeń między nimi porastały czerwono–złote lasy. Z powodu na kilka źle kojarzonych osobistości, okolice Mae'r nie liczyły sobie wielu mieszkańców. Warren Jefferd po kilku kontrowersyjnych incydentach, bez większych celebracji dołączył do tego małego szlachetnego grona.

Ulice były puste, zanosiło się na kolejny wieczór w rytm strug deszczu, uderzających o wielkowymiarowe okiennice. Katarynka przynależna tej ulicy grała wyjątkowo posępną melodię, co ani trochę nie wpłynęło na przyjazne usposobienie przysługującego jej Pana w Cylindrze. Nie przeszkadzały mu ulice, które pod wpływem pogody zamieniały się w rwące strumienie, niepokojące grzmoty, nierozmowni miejscowi. Zresztą, Jefferd od dawna już wychodził z tezą, że miejscowi kataryniarze po prostu nie są ludźmi.

– Spadła z gałęzi, już martwa. Nie ma, przynajmniej nie powinna mieć żadnych zewnętrznych uszkodzeń. – Jeremy Beneth skrupulatnie odpowiadał na pytania ze strony Kronikarza. Utkwił ciemne oczy w scenerii, którą miał przed sobą.

– Gdzie ją masz? – Warren zmarszczył brwi. Spojrzał w górę, cicho analizując otulone szarzystą niebo.

– W torbie, nie chciałem... ryzykować następną wpadką – chłopak skinieniem głowy wskazał na wiszącą u jego boku skórzaną konduktorkę. Od czasu opuszczenia feralnego miejsca, jakim było centrum Relaeth przyjął kamienną twarz.

Mężczyźni zbliżali się do celu. Smętna melodia cichła, ustępując miejsca następnej, Jefferd i Beneth przyspieszyli kroku.

– Coraz mocniej wieje. – W chwili, w której wstąpili na stopień wspólnego domostwa pęd powietrza poderwał w górę poły czarnych płaszczy. W ręce starszego z mężczyzn zadzwonił obszerny pęk kluczy. – Jestem spragniony. Zaparz herbatę, Beneth.

– Nigdy jeszcze nie widziałem pana pijącego wodę, profesorze. – Jeremy żartem usiłował rozluźnić atmosferę po tym, jak okazało się, że jego znalezisko doznało niepożądanych uszkodzeń. Postawił na biurku filiżankę zielonej herbaty.

– Widzę, że jeszcze wielu rzeczy muszę cię nauczyć – Warren nie odezwał wzroku od oprawionego w szkło ciała pół–mechanicznej kukułki. Części, takie jak noga, elementy skrzydła i jedno z oczu, wykonane były (jak wiele innych rzeczy w Świecie Wiecznej Jesieni) z poddanej misternej obróbce miedzi. Założył ręce na piersi. – Zastanawiałeś się kiedyś nad ulotnością życia człowieka? I jego przyczyną? – Mistrz utkwiał zielone oczy w stojącym obok blondynie. Chłopak spoważniał. – Czy myślałeś kiedyś nad tym, że człowiek mógłby być nieśmiertelny? Dajmy na to... z pomocą maszyn. Stado wilków z Girw, sarny z Drean. Ludzie

zachowali je przy życiu, z pomocą niczego innego jak mechaniki. Ich ciała, średnio z 60 procentów składają się z kół zębatych, przerezutni i innych ustrojstw, których nie mam ochoty wymieniać. Żyją nieprzeciętnie długo, umacniając się z każdym pokoleniem. Z czego wynika, że człowiek, choć jest, był i będzie ich życiodawcą, jest od nich słabszy. Jesteśmy słabsi od maszyn, Beneth. Wiesz, co zabija maszyny, prawda?

– Woda – odpowiedział chłopak, starając się nadążyć za tokiem myślenia swojego nauczyciela. Przysunął krzesło, z szuflady wyjął orle pióro i pergamin, zajmując swoje stałe miejsce pracy.

– Dokładnie. A co jeśli dla nas woda też jest powolną trucizną? Jeśli coś, co daje nam życie, tak naprawdę bardzo dyskretnie i niespostrzeżenie nam je odbiera?

– Nawet jeżeli, herbata przecież też zawiera wodę... – Jeremy odgarnął z blatu stertę zapisanych skrawków papieru. Wypowiedź przerwał mu brzęk starcia się pustej, porcelanowej filiżanki z równie porcelanową podstawką.

– Jeśli umierać, to z urozmaiceniem.

Mijały godziny, za oknem zmierzchało. Niewielkie źródło światła zawisło nad biurkiem, dając niewielką ulgę zmęczonym od mozolnej pracy oczom. Warren szlifował opis kukułki.

"Zapalenie dróg oddechowych. Choroba spowodowana zanieczyszczeniem powietrza docierając do płuc zabiła ptaka, nie oszczędzając mu cierpień. Infekcja niegroźna dla człowieka, mechaniczne części w stanie idealnym. Prawdopodobna negatywna reakcja na modyfikację, zaognione miejsca złączeń."

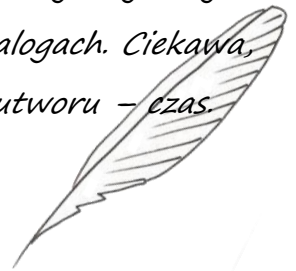
– Właściwie to – odezwał się Jeremy – dlaczego ptaki? Nikt za to nie płaci, a praca nad nimi jest skomplikowana. Sporo przeszkód i niewiadomych. Niedawno weszły modyfikacje, przecież są ludzie odpowiedzialni za zachowanie gatunku. To nie nasza...

– Nadal nie rozumiesz? – Warren oderwał pióro od zwoju, ostrożnie schował je do pokrowca. Odetchnąwszy sięgnął po schowaną w kieszeni fajkę, wstał, aby rozprostować nogi. Z jednej z półek regału zgarnął skomplikowaną w obłudze zapalniczkę. Po chwili w pokoju rozeszło się ciepłe światło płomienia.

Był to pierwszy raz, kiedy Jefferd zareagował na pomruki znużonego do granic ucznia. Westchnął ponownie, tym razem z jego ust wydostał się prawie biały dym. Zajął miejsce na obitym w czerwień fotelu, zatrzymując wzrok na patrzącego przez ramię Benetha. Starszy z mężczyzn przymknął oczy, a gdy znów je otworzył odbijał się w nich uśmiech, którego nie było widać na zmęczonej, młodej twarzy.

– To mój kalendarz. Odlicza do następnego końca.

Poetycka, utrzymana w dziewiętnastowiecznym klimacie opowieść, w której pada bardzo współczesne pytanie o granice dzielące ludzi, maszyny i zwierzęta. Dobrze przemyślana, zdyscyplinowana narracja, bez zbędnych czy chybionych scen bądź słów. Umiejętnie budowane napięcie, szczególnie w dialogach. Ciekawa, przejmująca puenta, w której dochodzi do głosu główny temat utworu – czas.



II nagroda

w grupie wiekowej 13–15 lat

Paulina Tyc

z Paweli Małej, 13 lat

W

ięzień umysłu

Jeden, dwa, trzy... Biegnę z całych sił przez las. Jedynym światłem jest blask księżycy. Nie mam odwagi zwolnić. Boje się, że on jest blisko. Sama myśl przyprawia mnie o dreszcze. W oddali dostrzegam zarys pnia. Szykuję się do skoku, jednak źle odliczam odległość. Potykam się przez przeszkodę i z całą siłą upadam na ziemię. Przeszywa mnie palący ból w nodze. Chwytam się słabo za kolano. Odłamki rozbitego szkła rozcięły mi skórę aż do kości. Nie ucieknę. Przegrana opieram się o korę drzewa. Dopiero teraz czuję, jaka jestem zmęczona. I wystraszona. Nie mogę długo tak siedzieć. On mnie znajdzie. Nie podda się tak łatwo. Nie w moim przypadku... Zamykam mocno powieki. Dlaczego ja? Pytanie to męczy mnie od miesiąca.

Nagle słyszę jakiś hałas. Szuranie butów po suchych liściach. Uczucie strachu ścisza mnie od środka. Znalazł mnie! Wstaję chwiejnie i już chcę zacząć biec, kiedy zauważam jego. Nie prześladowcę z mojego koszmaru, a nieznanego. Krótko ścięte jasne włosy opadają pojedynczo na czoło chłopaka. Po nierównym oddechu można wywnioskować, że biegł. Rozgląda się dookoła, jakby czegoś szukał. Może mnie? Bez namysłu zaczynam biec przed siebie. Nie zważam na ból. On zawsze wygrywa.

Resztkę nocy spędzam na ucieczce. Dotarcie do mojego domu nie jest takie łatwe. Trzeba przebiec cztery kilometry od starych ruin. Samochodem byłoby szybciej, ale nie mam prawa jazdy, a co dopiero auta. Mając szesnaście lat, można jedynie pojechać autobusem, gdyby o pierwszej w nocy jeszcze jeździły. Jestem jednak przyzwyczajona. Nocne biegi to część mnie. Jedynie dzisiejsze zdarzenia są dla mnie nowymi doświadczeniami. Nigdy nie atakował na zewnątrz. Tylko w domu. I to na dodatek czasami, a dziś to już druga niespodzianka.

„Co się dzieje?” – myślę, otwierając drzwi wejściowe. Mamy nie ma w domu, więc jestem sama. A przynajmniej mam taką nadzieję. Zamykam dodatkowe zamki, jakby to miało mi pomóc. Nie pomoże. On nie potrzebuje drzwi, aby wejść do środka. Ale to zawsze coś. Biorę głęboki oddech. Myśl, Misza myśl! Kulejąc dreptam do kuchni po apteczkę. Obawiam się zakażenia. Światło żarówki dodaje mi otuchy. Gdyby tu był, nie świeciłaby tak jasno. Staram się dosięgnąć pudełka i w tym momencie, kiedy moje palce stykają się z plastikową powierzchnią zaczynam czuć, że nadchodzi. Momentalnie upadam na podłogę... cztery, pięć, sześć... Nie czuję zimnych płytek pod sobą, nie czuję nawet, że oddycham. Uczucie nieważkości zaczyna mnie dopadać. Lampa nie świeci już tak jasno, przez co w kącie pojawia się cień. Nie byle jaki cień. To mój koszmar. Skrada się do mnie małymi kroczkami, aby mój strach wzrósł. Karmi się nim. Obserwuję go ciekawą, co zaraz zrobi. Nie da się go pozbyć, więc lepiej mieć to już za sobą. Ociera się o moje plecy zostawiając po sobie chłód śmierci. Ciekawe zagranie. Nawet się nie wzdrygam, kiedy wspina się coraz wyżej, jak wąż. Otacza

moją szyję, której już nie czuję, po czym zagląda do mojej duszy. Tysiące przeżyć, jak slajdy, pojawiają się i znikają zostawiając miejsce pozostałym. Przeważnie wybiera te najgorsze. To te, przy których człowiek choć jakby nie chciał, nie potrafi zapanować nad emocjami. Nie zna czegoś takiego jak litość czy dobroć. To zło w czystej postaci. Bestia ryczy wściekle, nie znajdując niczego godnego jego zamiarów. Trwa to jednak tylko przez chwilę.

Nagle stoję w zakładzie mojej mamy wśród taśm i dziwnych urządzeń służących do niszczenia śmieci. Rozglądam się dookoła, szykując na atak z piekła rodem, ale moim zaskoczeniem jest to, że tu wszystko jest normalne. Żadnych parapsychicznych zjawisk. Nawet lustra, które pokazał mi dzień wcześniej. To zwykła fabryka. Pułapka. Nie oszczędziłby mnie. Na dowód, moim oczom ukazuje się mama. Młoda o blond włosach ubrana w strój roboczy. Podchodzi do taśmy, gdzie trafiają rzeczy, które mają zostać pocięte na kawałki. Opiera się o nią i wyciąga telefon. Uśmiecha się do ekranu. „Co ty kombinujesz, cieniu?” – myślę.

Do moich uszu dociera nagle dźwięk włączający maszyny. I tu zaczyna się piekło. Materiał mamy zaplątuje się między szparami taśmy. I teraz ciągnie ją na pewną śmierć. Spróbuj nie krzyczeć ze strachu na taki widok. Bo ja próbuję. I to ze wszystkich sił, jakie w sobie mam.

– To tylko wizja, to tylko wizja... – powtarzam jak mantrę, chcąc w to uwierzyć. Bestia tego chce. Aby się bała. Jeśli zginę w wizji, umrę naprawdę. Mamie nic się nie stanie. To tylko mój umysł. Zaciskam jak najmocniej szczękę i biegnę w stronę wyjścia awaryjnego. Nie mogę na to patrzeć, nie mogę...

– Misza! Nie zostawiaj mnie! P–pomóż mi! – zrozpaczony głos matki jest dla mnie jak bicz. Odwracam się, zanim zdążę się nad tym zastanowić. I to jest błąd. Bestia specjalnie to zrobiła. Wszystko zaplanowała. Na moich oczach mama wpada między ogromne siekacze i zostaje stratowana jak śmieć. Słyszę jakiś krzyk. Dopiero teraz orientuję się, że to mój własny...

Otwieram przekrwawione oczy i pierwsze, co zauważam to zwycięski uśmiech cienia. Znowu wygrał... Uczucie porażki wypełnia mnie całą. Próbuję wstać, ale on bezczelnie trzyma mnie za kostki i nie pozwala się ruszyć. Zaciskam mocniej pięści.

– To już trzeci raz dzisiaj – rzucam oskarżycielsko. Bestia powiększa się, jakby sprawiało jej to przyjemność.

– Pan się niecierpliwi – odpowiada głosem przypominającym rozbijane szkło. Wzdrygam się na te słowa.

– Cz–czego chce? – karcę się w myśli za okazanie słabości. Jeśli pan się niecierpliwi, to ja jestem karana. I to nie na zwyczajny sposób.

– Czas ci się kończy – jego śmiech odbija się echem. – To już czas, to już czas...

– Nie możecie! – krzyczę. – Mam jeszcze cztery miesiące! To oszustwo i...

– Pan nie lubi czekać – przerywa mi. – Takie są zasady gry, a ty przegrywasz – wybucha głośnym śmiechem. Zła i wystraszona staram się go uderzyć, ale moja ręka przechodzi przez niego na wylot. Cień przekształca się w dłoń i ujmuje moją twarz. – Szykuj się... To już czas! – dodaje.

Cała roztrzęsiona nie potrafię normalnie oddychać. Przełykam ciężko ślinę starając się uspokoić.

– Ile? – mówię rzeczowym głosem. – Ile mam czasu?

– Zero... – Po piskliwym głosie bestii nie został nawet ślad. Jego miejsce zajął głęboki, mroczny dźwięk.

– Z-zero? – nie wierzę własnym uszom. Cień śmieje się głośnie.

– Zero! – powtarza. – Wiesz... Nudzi mnie pospolity sposób pozbywania się ludzi... – mówi nonszalancko. – Pobawmy się najpierw w chowanego. Ja szukam, ty się kryjesz.

Z wrażenia otwieram szeroko oczy. Jeśli powiem nie – zginę. Jeśli powiem tak – także zginę. Gdzie tu sens?

– Jeden, dwa, trzy...– odlicza bestia, zanim zdążam odpowiedzieć.

Zrywam się na równe nogi.

– Osiem, dwadzieścia, dwadzieścia pięć...

– Oszukujesz – oskarżam go przy drzwiach kuchni.

– Nikt nie podał zasad – odparł cień i znowu wybuchł szalonym śmiechem. Biegnę najszybciej jak mogę... właściwie gdzie? Gdzie można ukryć się przed złem? W kościele? W szafie? Pod łóżkiem?

Wbiegam po schodach, przebiegam korytarz i wchodzę do pokoju zamykając po sobie cicho drzwi. Serce bije mi jak oszalałe. Nigdy nie lubiłam bawić się w chowanego, bo zawsze przegrywałam. Teraz pewnie nie będzie inaczej. Opieram czoło o zimną powierzchnię drzwi. Co takiego robiłam, aby tak cierpieć? Padłam ofiarą cienia i żeby uratować bliskich, sama muszę teraz zginąć.

– Przynajmniej oni będą bezpieczni... – stwierdzam, uspokajając się trochę. – Spłacę dług. Nawet nie wiem, kto mnie tak zadłużył, ale muszę. Muszę spłacić dług własną duszą. Samotna łza spływa mi po policzku. Wizja śmierci to dla mnie za dużo. Chociaż nie. Śmierć nie byłaby taka zła, gdybym po niej nie miała całe wieki spędzić służąc panu w piekielnych męczarniach, a potem krążyć jako zagubiona dusza po ziemi karmiąc się strachem innych i narażając ich na te same niebezpieczeństwo, w którym sama się znajduję. Przez głowę przelatują mi wspomnienia sprzed miesiąca, kiedy bestia po raz pierwszy pojawiła się w moim życiu.

Byłam w starych ruinach. Krążyły plotki, że jest to miejsce nawiedzone, gdzie zabijano w średniowiecznych czasach złych ludzi, ale w to nie wierzyłam. Uznałam to za kłamstwo właściciela, aby dzieci wreszcie przestały wchodzić na jego teren. Znalazłam tam piwniczkę zasłoniętą solidnym kamieniem o bardzo dziwnym kształcie. Dotknęłam go i wtedy zobaczyłam ciemne wnętrza wypełnione duszami bez twarzy, bez kończyn, ale jednak w jakiś sposób przypominających ludzi. I usłyszałam ten głos, głos którego do końca życia nie zapomnę i nawet w grobie będę słyszeć ten przerażający dźwięk. Przypominał on krzyk małego, wystraszonego dziecka, ale był głęboki i złowieszczy. To był głos samego pana piekła. „Następna będziesz ty. Twoja rodzina od wieków jest mi dłużna dwanaście dusz. Ty będziesz ostatnia, a zarazem pierwsza. Szykuj się, to już czas”

– Tik-tak, moja droga! – krzyknął piskliwie cień. – Gdzie się ukryłaś? I tak cię znajdę!

Odskakuję pospiesznie od drzwi przypominając sobie o zabawie w chowanego. Ledwo co utrzymuję się na nogach ze strachu, jednak nie mam zamiaru się poddać. Będę walczyć do samego końca. Biorę głęboki oddech. W szafie się nie schowam, nie wyskoczę także przez okno, bo to nie ma najmniejszego sensu. To cień. Jak można zwalczyć...

Nagle dostaję olśnienia. To takie oczywiste! Podbiegam do szafki nocnej i wyciągam dwie srebrne latarki. Ciemność zabija się światłem. Nawet przedszkolak to wie! Ale na jak długo? Niepewność jak bumerang wraca do mnie, tylko że z większą siłą. Przecież latarka kiedyś się rozładuje, a wtedy zginę.

– Gdzie tu jest sens? Po co żyć, skoro później i tak wszystko odchodzi? – mruczę pod nosem, tracąc resztki nadziei.

Spoglądam w bok i po raz pierwszy zauważam białowłosego chłopaka śpiącego na moim łóżku. Patrzę na niego zdezorientowana. Czy weszłam do właściwego domu? Chłopak jest ubrany w elegancką białą koszulę i czarne spodnie. Jego rysy są spokojne. Ma w sobie coś... niecodziennego. Oczy nieznajomego niespodziewanie się otwierają. Patrzy na mnie bez najmniejszego szoku, jakby codziennie mnie widywał. Marszczy jasne brwi, siada na łóżku i ziewa. Spogląda jeszcze raz na mnie i wreszcie zaczyna zachowywać się jak każdy w takiej sytuacji. No, prawie...

– Widzisz mnie? – pyta z prawdziwym zaskoczeniem w głosie.

– T–tak... – odpowiadam cicho. – To moje łóżko. Kim jesteś?

– Zane. – Chłopak wstaje z kamiennym wyrazem twarzy, a ja zaczynam się bać.

– Dlaczego mnie widzisz?

– A dlaczego miałabym cię nie widzieć?

Podchodzi do mnie i przekrzywia lekko głowę, jakby próbował mnie zrozumieć.

– Bo nie żyję.

Gdybym miała wybrać najdziwniejsze rzeczy, które wydarzyły się podczas mojego życia, ta sytuacja zajęłaby drugie miejsce. Pierwsze byłoby spotkanie cienia. Cień! Oświecam pospiesznie latarki i kieruje je w stronę drzwi odrywając wzrok od Zane'a.

– Jak to nie żyjesz? – pytam nie wiedząc, czy chcę znać odpowiedź.

– Po prostu. Zabito mnie – tłumaczy tonem sugerującym, że to nic złego. – Tu, w tym domu. Dwadzieścia lat temu. Dlatego jestem zaskoczony, bo nigdy mnie nie widziałaś, nawet jak próbowałem się ujawnić.

– Byłeś tu przez cały czas?! – krzyczę szeptem. Zamiast przejmować się tym, że widzę duchy, czuję ogromne zawstydzenie. Moje szalone tańce nie zasługują na publiczność. Ani zabawa w modelki, ani gadanie do ścian. Czuję, jak policzki mi płoną, co Zane spostrzegł od razu. Uśmiecha się tylko, jakby czytał mi w myślach i zaczyna tłumaczyć dalej.

– Byłem zawsze tam gdzie ty, bo uznałem cię za najciekawszą z całej rodziny. Zawsze naśladowałem cię w szkole, kiedy byłaś sama, podczas tańców – mówi zamyślonym głosem i ogromnym uśmiechem. Nagle poważnieje, jakby coś sobie przypomniał.

– Ach! Już wiem! Pewnie sama jesteś bliska śmierci. Nigdy nie słyszałem, abyś była na coś poważnie chora. Co będzie twoją przyczyną ...

Przerywam mu upuszczając z wrażenia latarki. Umrę? Stoję jak wryta nie mogąc pozbierać myśli.

– Umrę? – myślę tym razem na głos. Zane patrzy na mnie z lekkim zmieszaniem na twarzy.

– Skoro mnie widzisz...

– Słoneczko moje! – głos cienia zabrzmiał znacznie za blisko. – Czyżbyś ukryła się tutaj?

Opamiętuję się na szczęście dość szybko by podnieść latarki i porazić światłem bestię. Syczy z bólu i złości.

– To nie fair... – rzuca próbując ominąć promienie.

– Nikt nie podał zasad – powtarzam jego słowa drżącym głosem.

– Czy to on cię zabije? – szepce Zane za moim uchem. Słyszę w jego głosie strach. Nie odpowiadam, co chyba mu wystarcza.

– Spryčiuła... – śmieje się złowieszco cień. – Ciemność pokonasz światłem, ale czy to nie przereklamowane? – robi niespodziewany skok w bok, jednak i tam zostaje porażony latarką. Sfrustrowany poczernia jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle możliwe.

– Dobrze... Pobawię się jeszcze z tobą, słonko.

Na moich oczach rozsypuje się na kilkanaście małych części, a im ich więcej, tym głośniejsze są śmiechy.

– C-co... – wymachuję rękoma zdezorientowana, chcąc trafić cienie, jednak to niemożliwe. Są za małe, by je dostrzec. Zanim się spostrzegam, moja noga jest już owinięta przez czarną substancję.

– Puszczaj! – Bestia zaczyna wspinać się coraz wyżej. Latarki wypadają mi z rąk i toczą się w głąb pokoju.

– Au!

Coś twardego uderza mnie w brzuch, przez co upadam na podłogę. Czuję pod powiekami łzy. Przypomnij sobie jedną z tych nocy w dzieciństwie, kiedy byłeś pewny na sto procent, że potwór jest pod twoim łóżkiem, kiedy już widziałeś jego twarz, dłonie, i tą kulę strachu w swoim brzuchu. Jednak bałeś się zbyt bardzo, aby cokolwiek zrobić, więc siedziałeś spocony pod kocem, oczekując ranka. A teraz pomnóż to przez dziesięć. Nie jestem dobra z matematyki, ale wiem, że wynik wyjdzie taki, jaki jest teraz mój strach.

Nie oczekuję słońca. Oczekuję zbawienia. Czarne macki uwięziły moje ręce oraz nogi, przez co leżę bezwładnie na podłodze. Cień za to owija mój brzuch i ściska go coraz mocniej.

– Boisz się... – mówi cień wdychając moje emocje – I to bardzo...

– M-misza – Zane przykuca przy mnie niepewnie. – Co mam zrobić?

– Nic, to i tak miało się skończyć – szloch wzbiera się w mojej piersi. – Po prostu odejdz. Proszę...

Chłopak patrzy na mnie z ogromnym żalem, przez co czuję się gorzej. Ostatecznie kiwa tylko głową, po czym znika. Czuję lekkie ukłucie w sercu. Myślałam, że powie: „nie”... Faceci! Nigdy niczego się nie domyślają! Sama tego chciałam – opamiętuję się. Nie jest niczemu winien. Nawet go nie znam. Przelykam ogromną kulę w gardle

– Co teraz? – pytam cienia.

– Jak to, co? – mówi jakby to było oczywiste. – Zginiesz.

– Ale jak?

Bestia uśmiecha się przebiegle luzując uścisk.

– Jak to, jak? Sama się zabijesz. W swojej głowie – wychucha śmiechem pełną ku mojej twarzy. – Twoje strachy cię zabiją. Czas na ostatnią wizję... Szkoda. Polubiłem twoją fantazję. No ale cóż. Obowiązki wzywają!

– Nie – szepczę niesłyszalnie. Moje strachy. Umrzeć przez swoje strachy we własnej głowie. To jak koszmar, z którego nie da się wybudzić. Miałam wystarczająco dużo strasznych wizji, nie potrzebuję kolejnej. Cień jednak nie ma nic przeciwko.

–A powiedzcie ci, czego najbardziej się boisz? – Otacza moje usta, nie mogę krzyknąć, swoje wielkie ślepie wbija w moje. Czuję, jakby coś wkładało mi się do głowy.

– Śmierci...

Zamykam ciężkie powieki i pozwalam sobie odpłynąć. Mam wrażenie, jakbym leżała w powietrzu. Uczucie nieważkości to pierwszy krok do wizji. Ale tym razem jest inna... Jakby martwa. Otwieram oczy. Nic nie widzę. Czuję pustkę. Rozglądam się dookoła. Ciemność. Cisza. Nie jestem już w pokoju. Jestem w Nicości. Strach przed niespodziewanym, strach przed ślepotą, przed utratą bliskich, przed demonami, byciem gonionym, przed samym STRACHEM. Mój głos, choć nie mój, wypełnia czarną przestrzeń. Wstaję, oddychając głośno. Pocieram poranione nadgarstki rozglądając się dookoła.

– Halo? – wołam. Jestem we własnej podświadomości. Nie wiem jednak, czego się spodziewać.

Jak na życzenie obraz się zmienia. Stoję przed długim, ciemnym korytarzem. Gdzieś tam świeci stara żarówka. Niczego poza nim tutaj nie ma. Odwracam się. Nic nie widać.

– Cholera... – szepczę piskliwie. – Gdzie ja jestem?

– Kici kici... – głos dobiega zza mnie. Odwracam się gwałtownie. Kilkanaście metrów dalej, na samym końcu korytarza, stoi dziewczynka. Jest ubrana w białą koszulę nocną, która zlewa się z jej bladą skórą. Włosy ma czarne, nieuczesane. Opadają jej bezwładnie na twarz. – Misza – kotku. Chodź do pani...

Chwytam się za pierś, bo serce bije mi jak szalone. Zjawia uśmiecha się nienaturalnie wykrzywiając usta i wolnym krokiem rusza w moją stronę. O nie... Wycofuję się, ona przyspiesza, odwracam się, ona zaczyna biec. Wprost na mnie. PO MNIE. Krzyk uwalnia się z mojej piersi.

–Kici kici! – woła przeraźliwie, a ja coraz bardziej mam ochotę zginąć z rąk napastnika, niż z własnych. Nie mam odwagi spojrzeć za siebie, ale czuję, że jest blisko. Strach przed byciem gonionym. To jeden z najgorszych, ale tylko jeden.

Mimo zakazu, spoglądam w tył, ale jedyne co zauważam, to samotny korytarz. Gdzie ona... Z całej siły zderzam się z czymś twardym. Upadam, spoglądając w górę.

– Kotek... – Dziewczynka wyciąga po mnie ręce. Zaczynam się niezdarnie szamotać chcąc uciec. – Nie bój się.. Nic ci nie zrobię – uspokaja żartobliwie i wybucha śmiechem bardzo podobnym do cienia. Korzystając z okazji wstaję i zaczynam biec jak najszybciej potrafię.

– KOTEK!!! – Wrzask dziewczynki przyprawia mnie o dreszcze. Słyszę, że także biegnie i że jest blisko. Nie odważam się jednak odwrócić. Nie tym razem. Ciężko dysząc uciekam. Czy ten korytarz ma koniec?! Jak na życzenie w ciemnościach ukazują się drzwi. Ze szczęścia mam ochotę dziękować bogom. Chwytam z impetem klamkę i wybiegam na powietrze. Kolorowe domki, droga, ogródek z białym płótem... Wygląda mi to na osiedle. Oglądając okolicę nie zwróciłam uwagi na to, co mam pod nogami, czyli dębowe schodki, przez które przepadam.

Niespodziewanie rozlega się krzyk dziewczynki. Jest on inny od poprzednich, bo zawarty jest w nim ból. Odwracam się w locie w stronę drzwi i wciągam gwałtownie powietrze. Demon leży w kałuży krwi z wbity między żebra czarną parasolką. Jej uchwyt trzyma Zane. Patrzy na mnie z lekkim uśmiechem na twarzy dumny, że pokonał potwora. Przez krew jego białe włosy przybrały kolor pomarańczy.

– Jesteś... Rudy – mówię, bo tylko to jestem w stanie powiedzieć. Całą siłą upadam na twardy asfalt. Nie mogę złapać powietrza, ani się poruszyć. Za to widzę. I to doskonale. Nadjeżdżającą ciężarówkę...

Otwieram niepewnie oczy. Obraz jest rozmazany, jednak dostrzegam, że nie jest to mój pokój. Czy to tak właśnie wygląda piekło? – myślę, patrząc na niebieskie ściany, gdzie porozwieszane są plakaty reklamujące syropy na gardło. Nie, to nie mogą być zaświaty... Wygląda zbyt znajomo. Spoglądam w bok, w stronę okna, dzięki któremu moja teoria się potwierdza. To Bringstor, moje rodzinne miasto.

– Co się stało? – pytam sama siebie upewniając się przy okazji, że nadal potrafię mówić.

– Przeżyłaś – rozlega się niespodziewanie głos Zane'a. Spoglądam w jego stronę. Jego włosy już nie przypominają koloru marchwi, przez co wygląda znacznie lepiej.

Jego słowa przyjmuję z niedowierzaniem, ale również z ulgą. Zamykam powieki, dziękując w myśli bogom za zbawienie.

– Ale jak? Przecież cień dał mi ostatnią wizję, wpadałam pod koła ciężarówki...

– A ja zabiłem demona – przerywa mi Zane podchodząc do łóżka, na którym leżę. Tak, leżę w łóżku szpitalnym pod białą kołdrą. Do ręki mam przyczepioną kroplówkę.

– Dlaczego? – pytam przypominając sobie słowa chłopaka.

– Bo... – przeczesuje ręką włosy zmieszany. – Bo ja oddałem się w ręce cienia...

– Co?! – nie wierzę własnym uszom. – Czyś ty oszalał?!

– Nie – odparł tym razem z powagą. – Zrobiłem to, bo przez te szesnaście lat spędziłem z tobą każdą możliwą chwilę. Polubiłem cię, stałaś się dla mnie przyjaciółką, której za życia nie miałem, a na dodatek... I tak byłem diabłu winien swoją duszę – widząc moją minę tłumaczy – To nie ty powinnaś przeżywać to wszystko. Tylko ja. Mogłaś mieć spokojne życie, ale ja ci je zniszczyłem. Posłuchaj, zawarłem układ z diabłem, że weźmie twoją duszę zamiast mojej, jakieś dwadzieścia lat temu. Jednak poznając cię, zmieniłem zdanie. Byłem tchórzem, wiem. Wstyd mi za swoje czyny, bo gdyby nie ja, mogłabyś... mieć normalną przyszłość.

– Normalną przyszłość? – Czuję pod powiekami łzy. Nie wiem, czy ze strachu, złości, czy wzruszenia za jego poświęcenie. A może za zdradę? Chciał poświęcić mnie, zamiast siebie. To on mnie tak zadłużył. – Wiesz, co ja przeżyłam? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak się bałam? Nie! Bo siedziałeś obok i obserwowałeś mój ból. Nie czułeś go, nawet nie wiem czy zdawałeś sobie o nim sprawę.

Nagle orientuję się, że Zane trzyma rękę przy oczach i cały drży. Momentalnie robi mi się głupio, za swój wybuch.

– Ale... ostatecznie mnie uratowałeś. Dziękuję.

To prawda. Gdyby nie on, byłabym właśnie w piekielnych męczarniach.

– Wybacz mi, wybacz...

– Wybaczam – mówię i próbuję wstać, ale nie mogę. Nie wiem, jak to zrobić. Patrzę z przestraszeniem na chłopaka.

– Nie mogę się poruszyć...

– Wiem.

– Dlaczego? Jestem inwalidą? Co się stało?

– Umartaś – tłumaczy Zane, uspokajając się trochę.

– Ale mówiłeś że przeżyłam! – zdezorientowana powtarzam próbę poruszenia się. Na marne. Czuję się jak rzeźba.

Zane siada na krześle i chwyta moją dłoń, której i tak nie czuję.

– Przeżyłaś atak cienia, jednak faktycznie trafiłaś pod koła ciężarówki. Nie żyjesz, jednak nie opuściłaś jeszcze swojego ciała. Jesteś sztucznie podtrzymywana przy życiu od czterech dni. Nie ma już dla ciebie nadziei – jego głos brzmi smutno. – Wybacz, nie zdążyłem cię uratować.

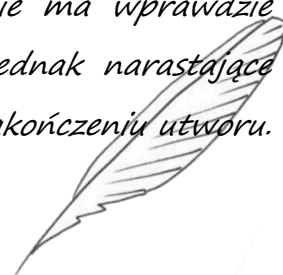
– Zane! – Niespodziewanie cień pojawia się obok. Włazi na głowę chłopaka, tak jak mi kiedyś.

– Do roboty! Pan nie lubi czekać...

– Żegnaj, Misza – mówi cicho chłopak, znikając.

Mam ochotę krzyknąć, płakać, zniszczyć wszystko co przyprawia mnie o smutek. Jednak nie robię tego. Tylko siedzę patrząc pusto na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał Zane. Mimo tego nie czuję urazy. Nic nie czuję. Nie żyję.

Mroczne, wykorzystujące konwencję thrillera opowiadanie, którego bohaterem jest rodzący się wśród zakamarków ludzkich myśli strach. Pomysł na ten tekst polega na niedomówieniu, dezorientacji czytelnika, który nie ma wprawdzie dokładnej wiedzy o postaciach i wydarzeniach, wyczuwa jednak narastające napięcie opowieści. Osiągnie ono swój kulminacyjny punkt w zakończeniu utworu. Ostatnie słowo należy bowiem do śmierci...



III nagroda

w grupie wiekowej 13–15 lat

Julia Lipska

z Człuchowa, 13 lat

O Fryderyku i wyjątkowo denerwującym duchu z cukierni

Mam na imię Fryderyk. Jestem zawodowym badaczem zjawisk paranormalnych. Prawda, że brzmiało wiarygodnie? Pytam, bo kiedy ostatnio oznajmiłem to rodzicom, oni o mało nie wybuchli ze śmiechu, a mama do tej pory nazywa mnie ufoludkiem. Fakt, nie złapałem jeszcze żadnego kosmity. Ale próbowaliście kiedyś szukać takiego w Mszycach? Jestem pewny, że nie! No, może po części dlatego, że żaden człowiek, który nie jest szalonym fanatykiem geografii nie umie ich znaleźć na mapie (a podejrzewam, że i takiemu byłoby trudno). Tak czy inaczej doszedłem do wniosku, że polowanie tu na istoty pozaziemskie nie ma sensu. Oczywiście dorośli nie rozumieją powagi sytuacji. "Och, nie martw się ufoludku! Zawsze możesz zostać czarodziejem!". Problem w tym, że już próbowałem i ten etap mam za sobą.

I kiedy poważnie zacząłem rozmyślać nad zmianą zawodu, pojawiło się moje wybawienie. Duch! No, może złapanie ducha nie budzi takiego szacunku jak schwytanie kosmity, ale nie mogę pozwolić, by okazała przeleciała mi koło nosa! Problem pojawił się, kiedy wyszło na jaw, że owa dusza nie chce dać się złapać. Ale spróbuję teraz zacząć od początku.

Zacząłem od tego, że dziadzio zapragnął otworzyć cukiernię. Z nieznanых powodów wybrał najbrzydszą i najstarszą kamienicę na malutkim ryneczku. Podobno już kiedyś ktoś próbował otworzyć tam cukiernię. Nie widzę w tej pracy nic interesującego, więc nie dziwię się, że już jej nie ma. Ale kiedy dziadzio się uprze, nie da się mu przemówić do rozsądku! Tak więc siedziałem w kamieniczce dziadka i właśnie kończyłem testować nowe cynamonowe ciasteczka. Nie były zbyt smaczne. Właściwie, to były obrzydliwe, więc kiedy dziadzio się odwracał częstowałem nimi kota. Ten jednak nie okazał chęci współpracy i zmieścił tylko dwa. Nie chciałem smucić dziadzia (i tracić dorywczej pracy testera), więc starałem się wymyślić co zrobić z nieudanym wypiekiem. Kosz oczywiście odpadał. Stary zaraz odnalazłby swoje ciastka. Zjedzenie ich absolutnie nie wchodziło w grę, toteż musiałem podjąć bardziej radykalne kroki. Poprzez radykalne kroki rozumiałem zostawienie cynamonowego przekleństwa na drugim piętrze cukierni. Byłem pewien, że nikt ich tam nie odnajdzie, a przynajmniej do czasu, aż dziadzia zdecyduje się na remont.

Ruszyłem. O dziwo nikt nie zwracał na mnie uwagi, za co początkowo zamierzałem się obrazić. Potem uznałem jednak, że dzięki temu moja misja będzie łatwiejsza. Schody okropnie skrzypiały, mimo tego nadal nie wzbudziłem zainteresowania. To zmusiło mnie do obrażenia się.

– Oto jesteśmy – szepnąłem do kota. Chciałem by poczuł się częścią mojej misji i w razie problemów mnie ochronił. Nie żebym się bał, po prostu wolałem być ostrożny!

– Jak myślisz, który wybrać? – spytałem. Oczywiście mój partner nie miał nic do powiedzenia.

W końcu zdecydowałem, że wybierze za mnie los. To brzmiało niezwykle tajemniczo w mojej głowie i uznałem, że będzie jeszcze bardziej tajemniczo, gdy wprowadzę pomysł w życie. Podniosłem więc kota, zakręciłem się z nim na rękach i puściłem go.

– Widzisz? Wreszcie się na coś przydałeś!

Mój partner nie podzielił mego entuzjazmu i podrapał mi ucho. Strasznie mnie bolało, ale nie chciałem dać bydlakowi satysfakcji. Prychnąłem, jakby zupełnie mnie to nie ruszało i otworzyłem drzwi, na których pozostał ślad po kocich pazurach. Muszę przyznać, że byłem rozczarowany. Miałem nadzieję, że będzie tam pełno pajaków, albo jeszcze lepiej węży! W końcu było do opuszczone piętro. Zastałem za to obrzydliwie różowy pokój. Zrozumiałem, że to może być powód, dla którego nikt tu nie wchodzi. Postawiłem talerz z ciastkami na podłodze i czym prędzej ruszyłem się do drzwi.

– Ohyda! – Cynamonowe przekleństwo z impetem uderzyło w moją głowę. – Sam to jedz!

Odróciłem się z przestraszona... em, to znaczy wojowniczą miną! Ja niczego się nie boję! No, może byłem troszkę zaskoczony. Bo kto spodziewałby się oberwać niechcianymi ciastkami w pustym pokoju?

– Co się gapisz matolku? Nie zamierzasz uciekać? – Usłyszałem wyjątkowo piskliwy dziewczęcy głos.

Byłem oburzony. Prawdziwy badacz zjawisk paranormalnych nie będzie słuchał żadnej baby!

– Tak się składa, że jestem najlepszym łapaczem duchów (i kosmitów) w okolicy, więc to ty powinnaś przede mną wiać.

– Ja się stąd nie ruszam! To moja kamienica!

A więc jednak w Mszycach można znaleźć upiora! Wyjątkowo denerwującego, ale jednak upiora! Swoją drogą nie miałem pojęcia, że ktoś, kto nie żyje może być taki denerwujący. Ale czego można się spodziewać do zjawie z jakiejś głupiej ciastkarni?

– Przestań utrudniać moją pracę i wynoś się z cukierni mojego dziadka!

– Z takimi "pysznościami" twój staruszek nie zajdzie zbyt daleko – stwierdził głos. Wprawdzie nie widziałem twarzy tej jędzy, ale byłem pewien, że się wrednie uśmiecha. – Ale jeżeli chcesz, mogę pomóc.

Zmarszczyłem brwi i spojrzałem na kota. Jeszcze przed sekundą niewidzialna siła zbombardowała mnie ciasteczkami, a teraz proponowała pomoc. Miałem badać zjawiska paranormalne, a nie zachowania kobiet! Zgodziłem się jednak. Uznałem, że czegoś gorszego od cynamonowych przekleństw nawet upiór zrobić nie może.

– Mój tata miał tu kiedyś lokal, uwierz mi, nikt nie zna się na pieczeniu tak jak ja!

W ten sposób poznałem moją irytującą jędzę. Okazuje się, że duchy rzeczywiście mogą wiedzieć coś o pieczeniu. Tak naprawdę, to powiem wam, że praca w ciastkarni wcale nie jest taka zła. Właściwie, to jest niemal tak ciekawa, jak praca badacza zjawisk paranormalnych. A jeżeli można piec serniki z duchem, to czy warto szukać nowego zajęcia?

Autorka opowiadania demonstruje nieczęsto spotykaną w literaturze, a tak bardzo pożądaną przez czytelników cechę – poczucie humoru. Zabawna, lekka historyjka o duchu przejmującym kontrolę nad jakością wypieków w rodzinnej cukierni narratora, z powodzeniem mogłaby stanowić pierwszy rozdział powieści dla dzieci. Julio, co byto dalej?



Wyróżnienie

w grupie wiekowej 13–15 lat

Maciej Szczepanik

z Rybnika, 14 lat

Spełniona przepowiednia

Lipiec 2014

Siedziałem w pociągu i bezmyślnie patrzyłem przez okno. Wprawdzie mijane krajobrazy bardzo mi się podobały, ale nic a nic mnie to nie cieszyło. Wszystko przez moją sklerozę...

Miesiąc wcześniej

– Już po raz drugi zapomniałeś odebrać Zuzię z przedszkola! – krzyczała mama – to niedopuszczalne. Musisz nauczyć się odpowiedzialności. Przez ciebie wyrzucą ją i będę musiała zrezygnować z pracy żeby się nią zająć. Z czego wtedy będziemy żyć?

Zapamiętałem te słowa dokładnie i starałem się jak mogłem, ale co z tego...

Tego feralnego popołudnia wróciłem ze szkoły. Miałem zjeść obiad, odrobić zadanie i pójść po Zuzię. Część planu zrealizowałem – zjadłem smaczny obiad i już wyciągałem zeszyty, gdy zadzwonił domofon. Poderwałem się, wybiegłem z pokoju i podniosłem słuchawkę.

– Cześć Tomek, to ja Karol. – Karol jest moim najlepszym przyjacielem. Znamy się jeszcze z piaskownicy i chodzimy do jednej klasy w pobliskim gimnazjum.

– Cześć. Co tam?

– Chodź pograć w piłkę.

– Nie mogę. – westchnąłem. Muszę odrobić zadanie i iść po Zuzię.

– Odpuść sobie. Zadanie odrobisz później. Chwilę pogramy i lecisz po małą – Karol kusił coraz bardziej.

– Hmm – udawałem, że myślę, a już podjąłem decyzję – przekonałeś mnie, ale nie było łatwo.

– Dobra, dobra. – odparł Karol ze śmiechem – Czekam na dole.

Kiedy dotarliśmy na boisko, okazało się, że są tam już Damian i Michał, nasi koledzy z klasy. Czasem razem gramy. Dzisiaj też rozegraliśmy mały turniej. Niespodziewanie Michał strzelił nam gola, więc robiliśmy wszystko, żeby wyrównać. Niestety, tak zatraćłem się w kopaniu piłki, że zapomniałem o siostrze.

– Tomek, do domu – zawołała mama. Trzymała za rękę Zuzię. Była wściekła, więc rzuciłem tylko – Cześć chłopaki. – i pobiegłem za nią. Kiedy tylko znalazłem się w mieszkaniu, wszedłem do kuchni. Mama usiadła załamana na taborecie i ku mojemu zdziwieniu powiedziała.

– W tym roku w wakacje nie pojedziesz na obóz sportowy. Zadzwoniłam już do cici. Zamiast kopać piłkę, będziesz kopał u niej w ogrodzie i zajmował się gospodarstwem.

Wiedziałem, że nawałem i nawet nie miałem zamiaru dyskutować.

Lipiec 2014

– Za chwilę twoja stacja. Zbieraj się. – powiedział konduktor, którego mama poprosiła, żeby mnie przypilnował.

Zabrałem walizkę, plecak i byłem gotowy zanim pociąg zatrzymał się na peronie. Nie wiedziałem co mnie czeka. Nigdy wcześniej tutaj nie byłem, ani nie widziałem cioci, o której w naszej rodzinie krążyły różne legendy. Kiedy tylko wysiadłem od razu zauważyłem starszego, dziwnie ubranego pana, który kiwał ręką w moją stronę. Podszedłem do niego. Z bliska wydawał się jeszcze starszy. Wzdrygnąłem się. W takim towarzystwie mam spędzić dwa najlepsze miesiące w roku? Najchętniej bym stąd uciekł, ale już i tak nieźle narozrabiałem.

– To ty jesteś Tomek? – zapytał, jak się później okazało, lokaj cioci.

– Tak to ja. – odparłem zrezygnowany.

– Chodź za mną, powóz czeka – myślałem, że się przestyszałem, ale jak tylko przeszliśmy przez drzwi dworca od razu rzucił mi się w oczy czarny koń zaprzęgnięty do... faktycznie, do powozu. Rany, jechać czymś takim? Dobrze, że koledzy mnie nie widzą. Z wielkimi oporami wsiadłem do środka i ruszyliśmy.

Po kilkudziesięciu minutach byliśmy na miejscu. Stanęliśmy przed starym, zaniedbanym domem, który nie zachęcał do wejścia do środka, a co dopiero do zamieszkania. Lokaj cioci kazał mi wysiąść i zaczekać przed drzwiami. Posłusznie wykonałem jego polecenie. Otoczenie domu też było w strasznym stanie – ogród zapuszczony, płot dziurawy a płytki chodnikowe powykrzywiane na wszystkie strony.

– Idziemy do środka. – zawołał lokaj. Zabrałem swoje rzeczy i ruszyłem rozczarowany i jednocześnie ciekawy, tego, co mnie czeka za tymi starymi, wielkimi wrotami. Kiedy znalazłem się w środku moim oczom ukazało się interesujące, aczkolwiek brudne i zszarzałe wnętrze. Widać dawno nikt nie wykonywał tu żadnego remontu.

– Twój pokój jest na górze, trzecie drzwi po prawej stronie. Proszę zejść na obiad punktualnie o 13:00. – powiedział mężczyzna i szybko odszedł.

Powoli powlokłem się do pokoju. Z zainteresowaniem oglądałem ciemny korytarz i zastanawiałem się jak wygląda ciocia, i kiedy ją zobaczę. Dotarłem do drzwi i złapałem za klamkę. Drzwi otworzyły się z głośnym skrzypnięciem. Wzdrygnąłem się i wszedłem do środka. Pomieszczenie było duże, obskurne jak cały dom, a wyposażenie... Co to jest? Łóżko, szafeczka z lampką nocną i... chyba cała biblioteka miejska. Wszędzie książki, książki i jeszcze raz książki. Powoli podszedłem do łóżka i zastanawiałem się, gdzie mogę się rozpakować. Rozejrzałem się dookoła i nie znalazłem nic, co chociaż trochę przypominało by szafę, komodę albo chociaż półkę. Pomyślałem, że zapytam o to później a tymczasem postanowiłem poprzeglądać pozycje na regałach. Znalazłem kryminały, książki historyczne, encyklopedie, słowniki, poradniki, powieści, bajki i wiele innych dzieł. Kiedy dotarłem do książek psychologicznych, tak niefortunnie zaczepiłem rękawem, że kilka tomów z wielkim hukiem spadło na podłogę. Kurz uniósł się w górę, zakaszałem a oczy zaczęły mi łzawić. Kiedy pył opadł zauważyłem, że coś znajduje się za książkami. Sięgnąłem delikatnie i wyciągnąłem pięknie oprawiony zeszyt. Miałem zamiar go przejrzeć, ale przypomniało mi

się, że o 13:00 jest obiad. Spojrzałem na zegarek. Zostało mi siedem minut. Szybko ale dokładnie poukładałem przewrócone pozycje na miejsce, schowałem znaleziony zeszyt pod materac na łóżku i ruszyłem w poszukiwaniu jadalni.

Zszedłem po skrzypiących schodach na parter, gdzie na szczęście czekał na mnie lokaj.

– Tomku, obiad podano, zapraszam. – powiedział bardzo oficjalnie i ruszył przed siebie. Poszedłem za nim i po chwili siedziałem przy długim stole, przy którym mogło pomieścić się chyba ze czterdzieści osób. Ciocia siedziała przy drugim końcu. Zauważyłem ją dopiero po chwili, bo jej czarne ubranie zlało się z brudnym tłem.

– Dzień dobry. – powiedziałem grzecznie.

– Dzień dobry. – odpowiedziała mi kobieta i zabrała się do jedzenia. Posiłek składał się z zupy, drugiego dania oraz pysznego deseru. Jadłem ze smakiem i nie odezwałem się więcej czekając na jakiś ruch ze strony cioci. Kiedy jedzenie znalazło się w żołądkach ciocia powiedziała:

– Przyjechałeś tu na prośbę twojej matki. Spędzisz z nami dwa miesiące, ale nie licz na żadne atrakcje. Śniadanie jemy o 8:00, obiad, jak już wiesz o 13:00 a kolację o 18:00. Jak się spóźnisz, nie jesz. Między śniadaniem a obiadem, a w razie potrzeby również po obiedzie, pomagasz w domu i przy domu. Zadania będzie ci przekazywał mój lokaj Tadeusz. Poza tym masz czas wolny i możesz robić co chcesz, bylebyś mi nie przeszkadzał. Pod żadnym pozorem nie wchodzi do mojego apartamentu. Tadeusz powie i pokarze ci wszystko, co powinieś wiedzieć. – kiedy skończyła mówić wyszła. Nie wiedziałem zupełnie co mam o niej myśleć. Ciocia wyglądała najwyżej na czterdzieści lat a zachowywała się i mówiła jak zmęczona życiem, zgorzkniała staruszka. Nie interesowało mnie już, gdzie mam rozpakować rzeczy z walizki, tylko jak przeżyć te wakacje. Dobrze, że chociaż mogę robić co chcę.

Tadeusz więcej się nie pokazał, więc poszedłem rozejrzeć się trochę po okolicy. Ogród widziałem wcześniej, ale dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że wszystkie rośliny wokół domu i na całej posesji są wysuszone, są martwe...

Wydarzenia dzisiejszego dnia bardzo mną wstrząsnęły, dlatego po spacerze położyłem się na chwilkę i zasnąłem. Śniły mi się jakieś koszmary i obudził mnie mój własny krzyk. Żeby rozładować napięcie sięgnąłem pod materac i wyciągnąłem schowany zeszyt. Okładka była wykonana ze skóry. Obejrzałem ją dokładnie i zauważyłem wypłowiałe tłoczenia oraz złoczone brzegi na każdej ze stron. Zeszyt z pewnością był bardzo stary. Z ciekawością zajrzałem do środka. Kartki były pożółkłe, nadgryzione przez myszy i częściowo wypłowiałe. Otworzyłem pierwszą stronę i zdumiony stwierdziłem, że to pamiętnik. Przez chwilę pomyślałem, że nie powinienem go czytać, ale uzmysłowiłem sobie, że osoba, która go pisała z pewnością już nie żyje, bo na okładce zapisany był rok 1875.

10 marca 1875r.

Jestem taka szczęśliwa. Właśnie wróciliśmy z Paryża. Pojechaliśmy tam specjalnie na premierę opery „Carmen” Georges’a Bizeta. To smutna i straszna historia, ale jednocześnie niesamowita. Mam nadzieję, że ja zakocham się z wzajemnością.

Kobieta. Pewnie to będzie bardzo cukiernicze. Przerzuciłem szybko kilka kartek i znowu zatopiłem się w lekturze.

2 maja 1875r.

Przez kilka dni bawiliśmy w Warszawie. Pojechaliśmy tam na wielkie zakupy. Przywiozłam trochę materiału na nowe suknie, kilka par butów, książki, perfumy, zegarek i mnóstwo innych rzeczy, które sprawiają mi radość. Och jak dobrze jest być bogatym.

W przyszłym miesiącu jedziemy do Wiednia. Zrobiłam już listę najpotrzebniejszych zakupów. Mam nadzieję, że wszystko uda mi się znaleźć. W innym wypadku byłabym niepokieszona.

Nie wydaje mi się żebym polubił tą dziewczynę. Pewnie zupełnie nic nie robiła tylko pyszniła się w bogactwem swojej rodziny... i była bardzo rozrzutna. Pomiąłem kilka stron i trafiłem na kolejny zapis.

20 maja 1875r.

Miałam pisać codziennie. Tylko dlatego mama zgodziła się kupić mi ten piękny zeszyt w Paryżu, ale tyle się działo, że nie miałam czasu ani siły. Zakochałam się. Zaskoczyło mnie to, ponieważ widziałam Kamila Rataja wielokrotnie. Zawsze był miły, uśmiechnięty i umiał mnie rozbawić, ale teraz... Myślę o nim niemal bez przerwy i marzę, żeby znowu go zobaczyć. Strasznie tęsknię. Usycham gdy nie ma go w pobliżu.

O rany to jakiś romans, czy co. Nic ciekawego. Miałem nadzieję na jakąś niesamowitą historię. Zobaczą jeszcze co dalej się kryje.

14 czerwca 1875r.

Już jutro będziemy mieli gości. Mnóstwo gości. Nie mogę się doczekać. Od wielu tygodni trwają przygotowania do balu na moją cześć. Wchodzę w dorosłe życie. Teraz na pewno będą mi szukać męża. A ja chcę tylko, żeby był przystojny, mądry, kochał mnie i rozpieszczał. Chcę, żeby to był Kamil. Wtedy będę zadowolona.

15 czerwca 1875r.

Bal był cudowny. Nie podobał mi się tylko jeden incydent. W trakcie zabawy do domu weszła jakaś stara cyganka i chciała coś do jedzenia. Tata najpierw uprzejmie poinformował ją, że nic z tego, ale gdy ta nie opuszczała domu wściekł się i kazał sługom ją wyprowadzić. Opuszczając naszą posesję głośno deklamowała jakiś dziwny wiersz, od którego ciarki przechodziły po plecach. Brzmiało to mniej więcej tak:

*Nie zaznasz szczęścia w życiu,
Ty ani twoja rodzina.
Z czasem zubożejecie,
Na brak miłości cierpieć będziecie.*

*Będą się rodzić same córki,
A jeśli syn się pojawi,
Zaraz choroba go strawi.
Wszystkie rośliny wokół domu umierać będą,
Żeby pokazać ludziom ziemię przeklętą.
Na szczęście dla was
Za kilka pokoleń w tym domu chłopiec się pojawi
I wszystko co zepsute w kilka dni naprawi.*

Zaczyna się robić ciekawie. O kogo może chodzić? Czy to ja jestem tym chłopcem? Jeżeli wszyscy potomkowie płci męskiej umierali, to może to faktycznie ma coś wspólnego ze mną?

Zastanawiałem się nad tym jeszcze przez chwilę, aż ciarki przeszły mi po plecach. Zupełnie jak dziewczynie z pamiętnika. Takie złe czary rzucone przez starą cygankę maja w ogóle jakąś moc? Przypomniałem sobie rośliny rosnące wkoło posesji i drzewo genealogiczne na jednej ze ścian. Szedłem na dół żeby dobrze mu się przyjrzeć. Były na nim same kobiety. Mężczyźni pojawiali się na krótko. Jedni umierali a inni chyba odchodzili, skoro nie było przy nich dat śmierci. Kilku chłopców zmarło najpóźniej w rok po urodzeniu. Wszystko się zgadzało z tym urokiem rzuconym przez niezadowoloną cygankę w 1875r.

Cały czas intensywnie myślałem. To niesamowite. Może faktycznie uda mi się pomóc? Zjadłem kolację i położyłem się spać. Mimo zmęczenia sen nie nadchodził. Postanowiłem przestać zastanawiać się nad tym, co dzisiaj odkryłem. Udało mi się. Zasnęłem wprawdzie późno, ale rano i tak obudziłem się rześki i wypoczęty. Zaraz po śniadaniu Tadeusz kazał mi pomalować płot. Powiedział, że zajmie mi to cały dzień. Chociaż nie palę się do takich prac, to jednak robota mi się podobała, bo nie trzeba było się przy niej skupiać. Mogłem więc spokojnie myśleć o wczorajszym odkryciu.

Kolejnego dnia po pierwszym posiłku do moich zadań należało zebranie wszystkich zwiędłych kwiatów z ogródka i ułożenie na stos gałęzi, które odłamały się z drzew. Praca była łatwa i przyjemna. Szybko się z tym uporałem i pobiegłem szukać jeszcze jakichś śladów czarów cyganki. Pomału obszedłem cały dom pokój po pokoju (oprócz apartamentu cioci oczywiście), korytarz po korytarzu. Byłem też w piwnicy i na strychu. Nie znalazłem nic, co byłoby godne uwagi, i co mogłoby odwrócić klątwę. Wróciłem więc do pamiętnika.

20 listopada 1876r.

Rodzice nie chcą się zgodzić na ślub. Kamil kocha mnie a ja jego, czy to nie wystarczy? Czy musi być tak bogaty jak my, albo jeszcze bardziej, żeby był mnie godzien? Jakie to niesprawiedliwe. Najchętniej uciekłabym z nim...

Niestety nie mogłem rozszyfrować co było dalej. Kartki się pozlepiały, tak jakby ktoś wylał na nie jakiś płyn. Udało mi się przeczytać fragment tekstu napisanego dopiero po kilku latach.

31 grudnia 1882r.

Nie wiem po co to piszę. Teraz już i tak nic mi nie pomoże. Mój syneczek nie żyje a ja nie mogłam nic zrobić, żeby go uratować. Mój mąż nie mógł pogodzić się ze stratą i odszedł ode mnie. Nie wiem nawet gdzie teraz jest.

Żyjemy teraz bardzo skromnie, bo nasze zasoby szybko się kończą. Sad nie przynosi żadnych zysków. Nawet fabryka mebli upadła, tak, jakby nawet i tam drewno usychało...

Następne dni nie wyróżniały się niczym od pozostałych. Jadłem, pracowałem i szukałem. Szóstego dnia po południu nie miałem nic do zrobienia, więc poszedłem na spacer do miasteczka. Droga zajęła mi około godziny, ale warto było. W centrum mieściły się stare kamieniczki, sklepiki, zakłady usługowe, nawet kino i małe przytulne kawiarenki. Na wystawie jednej z nich zauważyłem smakowite łakocie, więc wszedłem do środka. Zamówiłem wielkie czekoladowe ciacho, kakao z pianką i zabrałem się do jedzenia. Byłem może w połowie, gdy w pomieszczeniu pojawiła się cyganka. Była młoda, ładna, ale oczy miała jakieś stare. W kawiarni znajdowało się kilka osób, ale ona podeszła do mnie i zapytała:

– Powróżyć ci chłopcze?

– Nie dziękuję. – odpowiedziałem odruchowo, ale przypomniało mi się jak cyganka potraktowała mojego przodka i zawołałem – Proszę pani! Proszę wrócić, jednak potrzebuję wróżby.

Cyganka się odwróciła, uśmiechnęła i powoli podeszła do mojego stolika. Usiadła na wolnym krześle i ujęła moją dłoń.

– Czeka cię zadanie do wykonania. Łatwo nie będzie. To czego szukasz znajdziesz pod ziemią. – Powiedziała i szybko się oddaliła.

– Proszę pani o czym pani mówi? Czego mam szukać? – jak oparzony wybiegłem z kawiarni nie dokończywszy pysznego ciastka. Chciałem jeszcze porozmawiać z nieznaną i zapłacić jej za wróżbę, ale nigdzie jej nie widziałem, tak, jakby zapadła się pod ziemię. No właśnie pod ziemię. Czego mam tam szukać i gdzie mam to robić? Za dużo tych pytań. Wracam do domu. Może wreszcie uda mi się coś zdziałać. W nocy nie mogłem spać. Myślałem...

Następnego dnia była sobota, więc Tadeusz przydzielił mi mało zadań. Cieszyłem się z tego, bo po nieprzespanej nocy nie zregenerowałem sił. Mimo tego, wszystkie prace wykonałem bardzo szybko i zabrałem się za to, co wymyśliłem w nocy. Za kopanie ziemi wokół domu. Cyganka wyraźnie powiedziała, że łatwo nie będzie, ale znajdę to czego szukam. Kopałem do obiadu. Potem zdrzemnąłem się chwilkę i znowu chwyciłem za łopatę.

– Co ty tak kopiesz i kopiesz? – zapytał Tadeusz. Nie wiedziałem, czy mogę mu zaufać, dlatego odpowiedziałem tylko z uśmiechem na ustach, że nie mam co robić i przekopuję glebę. Tadeusz zdziwił się, ale już nic nie powiedział i poszedł do domu.

Kopałem do kolacji, ale nic nie znalazłem. Gdyby nie głód nie przerywałbym pracy. Po posiłku znowu wyszedłem do ogrodu. Byłem już bardzo zmęczony, bolały mnie plecy i chyba wszystkie mięśnie. Już miałem zrezygnować, gdy trafiłem łopatą na coś twardego. Odgarnąłem palcami ziemię i zobaczyłem niewielką szkatułkę. Delikatnie oczyściłem ją

i próbowałem otworzyć. Wieczko łatwo puściło. Moim oczom ukazał się list oraz kilka drobnych przedmiotów. Były tam suchy kwiat, kawałek drewna, niemowlęcy bucik oraz złamane serce i jakiś stary drobny pieniądz. Obejrzałem wszystko dokładnie, po czym otworzyłem list.

Jeżeli czytasz te słowa, to znaczy, że znalazłeś szkatułkę. Wszystkie znalezione przedmioty zanieś o północy pod największe drzewo w ogrodzie i podpal. Klątwa zostanie przerwana.

Spojrzałem na zegarek. Była 23:45. Podniosłem się z ziemi żeby jak najszybciej poszukać największego drzewa. Znalazłem je z tyłu za domem, gdzie zostawiłem zawartość szkatułki. Pobiegłem jeszcze do kuchni po zapałki. Miałem mało czasu. Wróciłem zdyszany. Była 24:00. Szybko odpaliłem zapałkę i rzuciłem ją razem z listem na znalezione rzeczy. Wszystko szybko się zajęło od ognia. Drzewo również zaczęło się palić, ale tylko na wysokość czterdziestu centymetrów. Dopiero teraz ochłonąłem i zacząłem zastanawiać się, co by było, gdyby ogień się rozprzestrzenił. Pobiegłem po wiadro z wodą, sprawdziłem, czy rzeczy spłonęły i już miałem gasić ogień, kiedy wszystko nagle samo zgasło. Pogrzebałem tylko kijem, sprawdzając, czy nic się nie żarzy i wykończony poszedłem spać.

Rano usłyszałem jakiś hałas, więc wstałem z łóżka i poszedłem sprawdzić, co się stało.

– To narzeczony twojej cioci wrócił. Na reszcie. Tyle lat na niego czekała. – powiedział pierwszy raz uśmiechnięty Tadeusz. Pobiegłem do pokoju się ubrać i zabrać pamiętnik, żeby pokazać go cioci i opowiedzieć o wydarzeniach ostatnich dni. Niestety nigdzie nie mogłem go znaleźć. Pobiegłem na śniadanie. Ciocia szczęśliwa siedziała koło mężczyzny, który wyglądał, tak jak ona, na około czterdzieści lat.

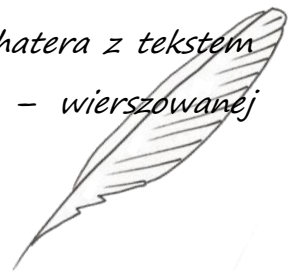
– Siadaj kochanie. To jest Paweł mój narzeczony. – powiedziała ciocia i zaczęła ze śmiechem zaganiać nas do jedzenia. Ciocia była szczęśliwa i tryskała energią.

Następne dni były wspaniałe. Szkoda, że wakacje się skończyły i musiałem wracać do domu.

Maj 2015

Już nie mogę się doczekać wakacji. Tym razem cieszę się, że jadę do cioci. Właściwie jedziemy tam wszyscy. Dostaliśmy zaproszenie na ślub oraz zdjęcia pięknie odnowionego domu i kolorowego, żywego ogrodu...

Opowieść wakacyjna wpisująca się w model powieści przygodowej dla młodzieży. Klątwa rodu, pamiętnik sprzed stulecia, wróżba cyganki – z tych elementów autor opowiadania buduje nastrój zagadki i tajemnicy, ku rozwiązaniu których sprawnie prowadzi czytelników utworu. Równie udanie wypada połączenie opowieści z perspektywy współczesnego bohatera z tekstem pamiętnika z odległej przeszłości i – zamieszczonej w nim – wierszowanej przepowiedni.





II nagroda

w grupie wiekowej 16–19 lat

FILIP NOWAK

z Góry Siewierskiej, 16 lat

Na skraju

Jego palce muskały klawiaturę w delikatnym tańcu, sprawiając, że na ekranie komputera pojawiały się coraz to nowsze słowa, zdania, linijki i akapity tekstu. Oczy wpatrujące się nieustannie w monitor coraz częściej gubiły ostrość, pozwalając błędom na swobodne lawirowanie między literami. Dłonie stawały się coraz cięższe, zmęczone nieustannymi swawolami, których nie powstydziłby się niejeden gimnastyk, przez co coraz częściej nie trafiały do swojego celu. Świadomość młodego chłopaka siedzącego w niedużym, jasnym, pokoju coraz częściej zanikała, jakby dając do zrozumienia, że dłużej nie da rady dotrzymać mu towarzystwa. Mimo tych wyraźnych oznak wewnątrz jego ciała płonął ogień, istna pożoga, którą mogło ugasić tylko jedno. Szybkim ruchem głowy odrzucił tę niefrasobliwą myśl i ściskając trzema palcami nasadę nosa, wziął głęboki oddech. Jeszcze nie mógł przestać, nie teraz, nie, gdy jest już tak bliski końca. Zmuszając wszystkie swoje członki do jeszcze odrobiny wysiłku, powrócił do pisania; nie mógł przestać z tak trywialnego powodu. Czuł, że niedługo osiągnie kres swoich możliwości, jednak obiecał sobie, że najpierw przekroczy ich granicę.

Przez piętnaście następnych minut nie działo się nic, jednak po przekroczeniu tej niewidzialnej bariery świat w oczach młodzieńca jakby zwolnił tempa. Rytmiczne cykanie staroświeckiego zegara zawieszzonego nad biurkiem stało się wolniejsze, jakby od tej chwili mechanizm postanowił wydłużyć sekundy po trzykroć, a dźwięki stały się dłuższe i stępione. Trawiaste ściany pokoju zaczęły falować jakoby zielone moze stepu, poruszane przez nawet najłżejszy podmuch wiatru. Chwilowe oszołomienie chłopca zamieniło się w strach, ponieważ wiedział, że to sam mózg płata mu figle. Ściany, jakby tylko czekając na ten moment, zamieniły się w ogromne fale zieleni. Zamknął oczy, by oprzeć się iluzji. Nastąpił czas oczekiwania. Minęła jedna minuta – szum, który pojawił się wraz ze wzmocnieniem fal ustał, druga minuta – dźwięk przesuwającej się wskazówki zegara stał się krótszy i wyraźniejszy, trzecia minuta – sekundy powróciły do nadanych im wcześniej długości, czwarta minuta – chłopak podniósł powieki ukazując oczy o tym samym lub nawet głębszym kolorze co ściany pokoju. Chaos ustał.

Nie pozwalając sobie na kolejne opóźnienia, powrócił do pisania z jeszcze większym zapamiętaniem. Nie miał czasu, a ogień, o którym przez wariacje swojego ciała i umysłu zapomniał, zapłonął ze zdwojoną siłą. Ponownie poczuł, iż nie ma zbyt wiele czasu, a to przez co trawiły go płomienie było blisko; na tyle blisko, że aż słyszał jej ciche kroki niemalże niedosłyszalne w zgiełku jaki panował wewnątrz jego głowy. Uczucie przepiętności i kompletnej pustki mieszały się w jego głowie, tak jakby ktoś w błyskawicznym tempie napełniał i opróżniał wannę pełną wody. Dźwięk kroków stawał się coraz wyraźniejszy, a wraz z ich zbliżaniem się jego palce coraz szybciej przeskakiwały z klawisza na klawisz. Sam był zaskoczony prędkością,

z jaką pisał, ale nie miał czasu na zadumę nad sprawnością swoich palców. Musiał pisać! Była już blisko, a on nie mógł się odwrócić, by chociaż na nią zerknąć, ponieważ oznaczałoby to jego niechybną zgubę, zatracenie się w niej, na co nie mógł sobie pozwolić...

Doskonale wiedział, jak ona na niego działa, co gorsza – ona też doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Była już na tyle blisko, że słyszał jej oddech. Nachyliła się nad nim i cicho szeptała mu do ucha. Znał tę sztuczkę i umiał się przed nią bronić. Odrzucił ten zmysł, dzięki czemu zyskał cenne sekundy. Gdy zdała sobie sprawę, że w ten sposób niczego nie wskóra, przeszła do kolejnego etapu swojej jakże kuszącej gry. Dłońmi wodziła po całym jego ciele zaczynając od klatki piersiowej, a w miejscach których dotknęła, ciało stawało się jakby z lodu. Jego oddech przyśpieszył pod tą delikatną pieśzczotą. Zdawał się rozdzierać pomiędzy chęcią, by oddać się w jej ramiona, a dokończyć to, do czego już tak niewiele brakowało. Jeszcze tylko akapit, pomyślał, jeszcze tylko kilka linijek. Jednak ona nie dawała za wygraną. Jej dłonie błędziły dalej po jego ciele, a miejsca, które dotknęła, stawały się nieobecne, jakby kawałek po kawałku odsyłała go do raju, do którego nie chciał jeszcze wkroczyć. Spostrzegłszy, iż jest on bliski kresu wytrzymałości, zaczęła całować jego ramiona i szyję, sukcesywnie zmiernając w górę. Na chwilę jego ręce zatrzymały się nad tym dużym, prostokątnym kawałkiem plastiku, który znajdował się pod nimi. Wiedział, że to koniec, że złapała go w swoje sidła. Odpuścił. Poddał się jej. Napięcie ciała, jakie od dłuższego czasu mu towarzyszyło, odeszło, zamieniając się w ekstazę. Ogień, który trawił jego trzewia, zniknął pod dotykiem jej zimnych dłoni i warg. Pozwolił zawładnąć sobą tej pierwotnej potrzebie. Ruchy, jakie wykonywał ostatkiem sił, stawały się chaotyczne i nieprecyzyjne. Świadomość oddalała się, ustępując miejsca przyjemności. Była zdecydowanie za blisko. Czuł jej delikatny zapach, przypominający jego ulubioną herbatę. Spletli się ze sobą w uścisku złąknionych siebie kochanków. Od tak dawna tego nie robił, tak bardzo za tym tęsknił... Nabrzmięte członki w końcu znalazły ukojenie pod jej czułym dotykiem. Zasnął w czułych ramionach swojego zmęczenia, z głową wypełnioną tylko jednym. Z przekonaniem, iż jutro dokończy to, co zaczął.

Sztuka pisania i sztuka kochania spotykają się w subtelnym, nastrojowym tekście. Erotyka wymaga od twórców literatury umiejętnego balansowania na granicy dosłowności i sugestii, co stanowi duże wyzwanie nawet dla doświadczonych i utytułowanych autorów. Pisać o miłości oznacza zatem umieć być – zgodnie z tytułem opowiadania – „na skraju”. Świadom tej reguły autor utworu z wyczuciem pokazuje też miejsce wspólne literatury i miłości, jakim jest ciąto – to piszące i to kochające.



III nagroda

w grupie wiekowej 16–19 lat

ALEKSANDRA LIPECKA

Z KIELC, 18 LAT

Anatomia kawy

Nie było to szczególnie wysublimowane miejsce. Ot, dziwne nie – wiadomo – co, dziecię zrodzone z łona kapitalistycznej współczesności i pośpiesznie wciśnięte w ciasną kotłuskę kamienicy na skrzyżowaniu dróg. Rankiem budził je brzęk kluczy i jęk zaspanych zawiasów, śniadanie szykowały mu buczące ekspresy do kawy (do tego wiecznie się psujące). Kotłusankę nuciły mu ryczące silniki pędzących aut, a stukot obcasów i szmer rozmów wcale nie zaspokajały notorycznej, dziecięcej ciekawości.

A jednak lubił tu przychodzić. Gdzieś pomiędzy stukotem wskazówek starego (a może nowego, tylko upozorowanego na wszechmodny *vintage?*) zegara, zawsze znajdował czas, by przy dźwięku złocisto-podobnego dzwoneczka MADE IN CHINA (czy według rodzimej wymowy *mejd in china*) wejść do środka i zanurzyć się w świecie oparów kawy i potoków słów.

Nie miał nawet pojęcia, czemu to miejsce zawsze kojarzyło mu się z lasem. Być może miało to związek z ochlapaną fototapetą przedstawiającą skandynawski las, być może wpływało na to wszechobecne drewno, ostatnio znów pobłogosławione przez świątobliwą matkę modę – drewniane krzesła, drewniane stoliki, drewniane miseczki, nawet ostatnio drewniane łyżki i widelce, które rychło pewnie zostaną przykute do stołów łańcuchami, tak wiele klientów nie mogło się bowiem rozstać z ich kruchym pięknem. Jeszcze tylko drewniane noże były opracowywane przez amerykańskich naukowców, niedługo pewnie i tak wyrobią je chińskie ręce i ktoś rozmnoży je na wszystkich półeczkach IKEA. Widział nawet oczami wyobraźni reklamę drewnianych noży – sam mógłby do niej z łatwością ułożyć komercyjny tekst, gdyby go tylko o to poproszono. *Idealne na twójego tumbra, na Instagrama, świetnie komponują się na zdjęciach z hipsterskim jedzeniem.* Jeśli nie PRL-owscy rodzice, to z pewnością kosmopolityczna i pro-technologiczna młodzież by się skusiła.

A może to uczucie wcale nie było związane z wystrojem wnętrza? Przecież odpadający tu i ówdzie tynk, powierzchnie łątany wszelkimi sposobami DIY, wcale nie kojarzył mu się z gęstymi koronami drzew, zakurzonej podłodze zaś daleko było do trzaskającej ściółki lasu. Nawet stojąca tuż przy witrynie palma nie mogła konkurować z wdziękiem rodzimych sosen, a jednak to ją wybrano, by witała gości tuż przy samym wejściu... Może to stukot naczyń i łagodny zapach zielonej herbaty przypominały mu chwile, kiedy delikatny mech łaskotał go w stopy milej niż jakikolwiek perski dywan, piski biegających wokół stolików dzieci były dla jego uszu tym, co ostre, smagające gałązki dla twarzy, a światło jarzeniówki dawało rażący blask, całkiem porównywalny do promyków słońca, wdzierających się w nieznany głąb leśnego listowia?

Tak, lubił tu przychodzić – mógł to stwierdzić z całą mocą swojego 320 gramowego serca. Choć w zupełności nie wiedział, dlaczego jego nogi bezwiednie kierują go do tych drzwi, do

tego stolika. Równie dobrze mógłby pójść do światowego, *jaśnie gentelmenowanego Mr. Starbucks* i stać się szczęśliwym posiadaczem kubeczka ze swoim imieniem, albo, jeszcze lepiej, bo bardziej patriotycznie, pójść do baru mlecznego naprzeciwko, pozwalając tym samym na dalszą egzystencję tradycji. Słyszał, że wciąż tam mają saturator – ciekawe tylko, czy zdążyli już kupić szklanki, czas płynie przecież tak szybko...

Mimo wszystko, wybierał jednak to miejsce – którego nie sposób było nazwać kawiarnią ze względu na bogate menu, w którym w poniedziałki królowały niezmiennie ryby z frytkami, w środy pierogi, a w piątki owoce morza – jak widać, wielokulturowość do kwadratu. Nie mógł też powiedzieć o nim „restauracja”, bo zabraniał tego brak wykwintnego wina, a i wystrój nastroczający wrażenia bardziej pubu, niż wytworności. Zderzało się tu wiele światów. Kicz mieszał się z dziełem artystycznym skopiowanej z Wikipedii i wydrukowanej podobizny Van Gogha, porcelanowe filiżanki wydawały się być na pierwszy rzut oka godne paryskiego Luvru, zdradzało je jednak niezbyt pomyślnie ułożone logo popularnego producenta herbaty.

Najbardziej jednak nietuzinkowość miejsca przejawiała się w samych klientach – tak różnych i wielobarwnych, jak kukietki z objazdowego teatrzyku. I to właśnie oni (nie kukietki; goście) najbardziej go fascynowali. Wysocy i niscy, grubi i chudzi, bogatsi, biedniejsi i ci, którym życie całkowicie skąpiło grosza, a sobotnie poranki pozwalały na wzięcie na wynos darmowej kawy. Zdziwiał, jak jedno miejsce, jak ciasnych pięćdziesiąt metrów kwadratowych potrafiło przyciągnąć niezliczoną rzeszę ludzi. Biedny chiński dzwoneczek chwilami pociał się ze zmęczenia i nie wyrabiał z oznajmianiem przybyć kolejnych wstępujących. Jak gdyby usłużny kamerdyner, trząsł całym swym niepozornym ciałkiem, próbując zdobyć się na ton na tyle wysoki, by móc przebić się przez hałas otaczających go zewsząd rozmów, rozmówek i niedomówień.

Wstępował do tego miejsca – może łatwiej będzie, wedle sugestii szyldu, nazywać go *ANATOMIĄ KAWY* – nader często, kiedy tylko nadarzała się taka możliwość. Zazwyczaj zaskakiwała go swoją rzetelnością. Ochota przychodziła bowiem niezwykle punktualnie, gdzieś pomiędzy godziną 15.30 a 16.00, w chwili, gdy opuszczał swoje biuro w dziale papierologii stosowanej. Zjawiała się jeszcze w garsonce, a jednak z już rozwianymi, przeczesanymi przez wiatr lokami. Buty trzymała w prawej ręce, drugą zwykle prowadziła go, jak mała dziewczynka, do *ANATOMII*, trajkocząc przy tym o przepysznych *latte macchiato* i energetyzujących *espresso*. Pomiędzy wykrzyknikami i wielokropkami swoich długaśnych wypowiedzi dodawała, niby szczyptę pikantnej przyprawy, wspominki o wczorajszym spaghetti i podobnym do jednego wielkiego misz-maszu dania szefa kuchni. Usadzała go przy stoliku tuż obok słynnej palmy, za którą mógł się schować w razie posądzenia o podsłuchiwanie (czego bynajmniej nigdy nie robił) lub prowincjonalne gapiostwo (a w życiu!), objawiając się przy tym w postaci uprzejmej kelnerki lub mniej cierpliwego kelnera. To dziwne, że tyle razy tam już był, a jednak wciąż nie pamiętał, ba, nie znał imion obsługi. I może nawet nie chciał. Ta anonimowość dodawała – jego zdaniem – miejscu specyficznego uroku, *czaru szarości*, jak mówił. Jestem szarą masą społeczeństwa. Z niej się wywodzę. Na nią patrzę. Nią oddycham. Nią żyję. Jestem szarą komórką społeczeństwa,

składam się w osiemdziesięciu procentach z wody i mojemu społeczeństwu służę. Tak mi dopomóż, Amen.

Siadał więc w kącie i patrzył, jak inni zajmują miejsca. Potrafił nawet podzielić stoliki na obozy. Klasa menadżerów siadała przy ścianach, na których wysypały się krosty gniazdek kontaktowych, dzięki którym mogli ładować swoje nadwyrężone akumulatory. Studenci byli zawsze blisko ekspresów, modląc się do boskiej kawy o cud i zdanie kolokwium. Dorobkiewiczze, jeszcze nie tak pewni siebie, chowali się po kątach. Skandaliści i hipsterzy, wszyscy chcieli być zauważeni przez tumult innych szarych komórek społeczeństwa, wybierali więc miejsca przy witrynach. Dewoci gromadzili się oczywiście przy krzyżu, na ziemi było wystarczająco dużo miejsca na *dywanik* muzułmanina.

Hej wszystkim, witam was w moim kolejnym vlogu, tym razem długo oczekiwane Q&A, będę odpowiadać na wasze pytania! Yay, zaczynamy...!

Cienki, piszczący głosik wyrwał go z zamyślenia. Odstawił filiżankę od ust i kątem oka zobaczył w naściennym lustrze, jak imponujących śmietanowych wąsów dorobił się przy pomocy latte. Musiał przyznać, nawet pasowały mu do pierwszych załączków siwizny wśród dżungli włosów...

Obrócił głowę, by widzieć wyraźniej. Dziewczyna, na oko studentka, siedząca jednak przy osobnym stole, nie z resztą uczniów. *Louis Vuitton* ponieważ się na podłodze, napakowany kosmetykami bardziej niż jakiś bokser sterydami. Dziewczyna zadbana, drobniutka, chodzący aniołek *Victoria's Secret*. Mówi do kamery. Fascynujące zajęcie, tak żywo wymachuje rękami, można mieć wrażenie, że ktoś rzeczywiście przed nią siedzi. A tymczasem za tydzień czy dwa jakaś nastolatka będzie oglądać jej video tagi na You Tubie, malując przy tym paznokcie albo – co gorsza – dłubiąc sobie w nosie.

Dziewczyna jak na razie jednak nic sobie z tego nie robiła. Trajkotała, wypuszczając kolejne informacje do cyberprzestrzeni. *#ile masz lat, #co studiujesz, #masz chłopaka, #wolisz mieć szyję wielkości palca czy palec grubości szyi?* Hashtagi wprost wylatywały jej z ust.

– Polska jest dobra.

– Stary, a ty insejny? Co cię tu, u licha, wywiało? Ja stąd w podskokach uciekałem!

– Polacy myli baldzo.

– Oni? Oni mili?! Tyś chyba od tych biedronkowych pierogów zgłupiał!

– Piełogi też baldzo mniem. Delicious, I mean.

– Delicious to są ale zarobki za granicą. Jak mogłeś z Londynu wyjechać, jak? Stary, ja nigdy nie wrócę do tej dziury! Spójrz na nich wszystkich, spójrz! Doktoranci i menadżerzy, ja zakręcam stoiki i mam ładniejszy dom od nich!

– Ja Poland lube very much!

– Lubisz, powiadasz? Phi, pasujesz tutaj. Jeden wielki psychiatryk... Jutro wracam do Londynu. Śmieszne, chciałem się z tobą właśnie tutaj zobaczyć. Widzę, że polubiłeś to miejsce... cool, nie?

– Yeah, cool indeed.

– A teraz na odwrót: kiedyś ja przyjeżdżałem z Polski do ciebie, do Londynu. A teraz na odwrót. Na pewno nie chcesz wrócić?

– My wife... zołna tu...

– To wy tu, my tam... Każdy sobie rzepkę skrobie...

Rozmowa przeplatała się w jego uszach z pstrykaniem aparatu i piskami *vlogerki*. A jednak ta kontrastowa para bardziej go zaciekała niż jej zwierzenia. Odsunął nasuwający się mu na oczy liść palmy, przechylił głowę trochę bardziej, by móc więcej odczytać z ruchu warg. Nie podłuchiwał, o nie! On raczej, jak reżyser, wsadzał wypowiedzi w usta nieświadomych aktorów. Gdy zawodziły zmysły, gdy nawet sztuka czytania z ruchu warg odwodziła go od prawdziwego tropu, prawdziwego dowodu, czepiał się ostatniej deski ratunku – wyobraźni, co się zowie, kreował tedy postacie, muskając faktur ich ubrań, bawiąc się na odległość kosmykami ich loków, poprawiając uciążliwe dla nosów i notorycznie spadające okulary. Oni nie byli tego świadomi i to go najbardziej cieszyło. Nawet teraz, kiedy kruczowłosa Azjata z wypiekami na swoich pucułowatych policzkach opowiadała coś siedzącemu naprzeciwko osobnikowi, łatwemu do zidentyfikowania jako *dres*, podkategoria gatunkowa: *luj*, wyznanie: *rap*, nawet teraz popuszczał wodze imaginacji, gdzieś tam pudrując im noski, bądź żłobiąc głębię ich charakterów.

Emigrant i imigrant. Życie lubi zaskakiwać. Jeden przyjechał, drugi odjechał, wszyscy zadowoleni, równowaga w przyrodzie zachowana. Lub przynajmniej ten przypadek dawałby taką nadzieję.

Luj tymczasem, uzbrojony w nerkę, kultowe *najki* z błotem nie firmowego już pochodzenia, wychwalał, błogosławił i wznosił pod niebiosą wielkość i wspaniałość lumpeksów angielskich, stawek piędznych, najki wszechobecnych, adidasów potępionych. Przed nim na talerzu leżała ryba z frytkami, jedyna pociecha w przerażającej polskości Polski, do której przybył, przyjechał, a z której jak najszybciej chciał odjechać. Kierunek: LONDYN, wołały jego oczy.

Aż wyobrażał sobie, jak mówi:

– Wiesz, stary, jedyne czego mi brakuje, to polscy raperzy. Ale ich zawsze można na *ju tjubie* posłuchać, a tam to i nawet dresów mają więcej.

– A więcej, więcej... I więcej ciekawszych miejsc do robienia *selfie*. Bo widzi pan, ja to zawsze muszę się chować do mojej łazienki, żeby cokolwiek z tego godnego lajków fejsbukowych wyszło... O, dziękuję za kawę... A myśli pani – tu już do kelnerki – co by bardziej pasowało do butów z krokodyla? Czerwona sukienka czy coś złotego à la *haute couture*? Podobno Schulz lubił krokodyle, opowiadanie jedno o takiej ulicy napisał, ale ja nic nie pamiętam... Kiedyś byłem w Berlinie, tam taką ładną torebkę widziałem... Oj, bym się z nią na ścianie pokazał!

I tak trajkotał. Trochę przy kości, swój mierny wygląd nadrabiał jednak nietypowym strojem. Tam róż, tu czerwień, skóra, zamsz, piórko i kapelusik – fiu bzdziu, skandal murowany. A wiadomo, skandale to to, co Internet lubi najbardziej. Wątpliwy talent, wątpliwy gust, ale sztuka zwracania uwagi była w tym przypadku najwyraźniej rozwinięta i osiągnięta.

– A moi rodzice to mieszkali w takim dworku pod Konstancinem, nie wiem, czy on jeszcze stoi... Pierwszego dnia, pamiętam to dokładnie, jak wybuchła wojna, to mnie tatuś tak mocno przytulił i powiedział: nie bój się, córciu, ja cię obronię. Ale ja nie chciałam obrony dla siebie, martwiłam się raczej o moją siostrzyczkę, Krysia jej było na imię... Zmarła, już rok będzie, paliła jak smok. Pamiętam jak w osiemdziesiątym którymś już potrafiła dwie paczki dziennie wypalić... A zdrowie miała końskie, naprawdę!... Ale, co, co? Aha, pani o tatusia pytała?

– Właściwie to o pani działalność w AK... brała pani udział w powstaniu?

– Ależ oczywiście! Sanitariuszką byłam, tam, na Śródmieściu stacjonował mój oddział. A później jak Niemcy wkroczyli, to do obozu mnie wysłali, razem z bratem... A nie, samą, brat był już wtedy w Oświęcimiu... Od czterdziestego trzeciego, znaczy się...

Wszystko mu się mieszało. Przeszłość mieszała się z teraźniejszością i wcale nie zamierzała wypuścić jej z uścisku, choć ta wrywała się ku swojej młodszej siostrzyczce, przyszłości. Szarpały się za włosy na jego oczach, przy jego obecności. Żadna nie chciała dać o sobie zapomnieć.

To ciekawe, jakże pojemną pamięć mają starsi ludzie. On nawet nie pamiętał koloru swojej wczorajszej koszuli, nie mówiąc o skarpetkach! Tymczasem, pani przy stoliku obok, udzielająca wywiadu jakiejś dziennikarce o twarzy zgoła dziecinnej, tryskała datami jak pociskami z karabinu maszynowego. Tu czterdziesty czwarty, tam tysiąc dziewięćset trzydziesty piąty i urodziny mamy, a w sześćdziesiątym szóstym to dostała od męża takie prawdziwe rajstopy, wie pani, najprawdziwsze rajstopy! A na wigilię w osiemdziesiątym mieli pomarańcze, nawet teraz nie smakują jej tak bardzo, jak wtedy. Ach, wtedy, wtedy...

...Wtedy jak z frankiem takie cuda się działy, to myślałem, że zawału dostanę! Ale dorobiłem się bracie, dorobiłem! Fortuna jest, sklep jest, żona jest... Boże, jak się cieszę! Tylko kredyt, tylko franki, tylko...

...Tylko ty się liczysz, naprawdę. Ja nie chciałam, naprawdę, nie chciałam...

...Chciałbym tylko zauważyć, że w sondażu wyborczym nasza partia wypadła nader korzystnie...

... Korzystnie wypadłaś na tym zdjęciu...

... Zdjęcie zostało wykonane w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym...

... W roku tysiąc trzydziestym dziewiątym tatuś wstąpił do AK, zaczął...

... Zaczął od sprzedawania swoich obrazów na ulicach...

Wszystko było jednym, żyjącym organem. Czuł, jak żyły rur otaczających sufit wypełniają się powoli życiodajną energią gości, jak podłoga drży pod naporem ich kontrapunktów i uspokaja się dzięki miękkiemu dotykowi wzajemnej zgodności. Bolała go głowa, a jednak czuł się tym bólem po stokroć wypełniony, od palca stopy po cebulki włosów. Jak nastrojony instrument, przeżywał moment ekstazy po wielokroć, rozkoszując się smakiem czekoladek różnych marek, różnych stanów społecznych i myśli. Wszystko to było takie różne, takie... inne. Brakowało mu słów, z drzeniem rąk chwycił długopis i zaczął kreślić, pisać, wylewać z siebie zdania i frazesy i wtlaczać je w delikatną fakturę serwetek za złoty pięćdziesiąt. Bloggerzy, hipsterzy, nacjonaści, lekarze... wszystko tu było i żyło. Jak gdyby znalazł się w sercu całkowitym tego kraju, jak gdyby...

Ulotność chwili nie pozwalała mu na znalezienie odpowiednich metafor.

Gdzieś przy stoliku koło ekspresu żarliwie dyskutowano o studiach. Słyszał głosy, choć nie potrafił powiedzieć, do kogo należą – maszyna skutecznie zakrywała ich postacie, niby kurtyna oddzielająca aktorską trupę od widowni.

Na medycynę idź, człowieku, chcesz w Macu pracować?! – przepowiadał ktoś grobowym tonem. Do tego głosu zapewne pasowałyby barwa kakao, delikatnie przyprószone cynamonem włosy i sweter ubity z bezy śmietankowej. Wisienką byłby w tym przypadku rozżarzone oczy i rumiana skórka od chleba grająca rolę wypieków – świadków żarliwego przekonania o własnej racji.

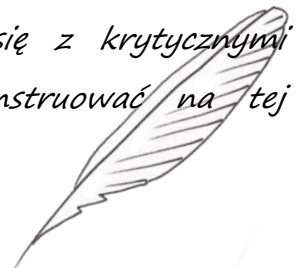
Filozofia to prawdziwa matka nauk, toż to... to królowa wszystkich dziedzin. Nie zmienię zdania, niewielu jest takich, co to Sokratesa rozumieją, co Platona...

Coś delikatnego. Jak delikcje zamiast ust, wypowiadających tak uduchowione słowa. Tak smaczne i słodkie, jakich pragnęłyby skosztować każda dziewczyna. Nieokiełznana czupryna wiecznie poplątanej rukoli, idealnej do sałatek filozoficznych debat i mieszanek. Marcepanowy orli nos, bardzo kruchy, a jednak będący kiedyś ulubionym smakołykiem kupców – Holendrów. Świadek przeszłości, zapomnianej...

Wyobrażał ich sobie po kolei. Społeczeństwo złożone z słów zebranych w całość i ugotowanych w jednym garnczku. Rozgotowany makaron, przysypiający na blacie stoliku. Rozchichotana Coca – Cola, wdzięcząca się do lusterka. Stereotypowo *gimbusiarska*, a jednak wiecznie młoda Nutella, rozsmarowana na bagietkach i rozchwytywana przez wszystkich (*Nutella* to nie jedzenie, to styl bycia). Masło z awokado, obecnie *en vogue* i za tą modą ślepo podążające. Zupki wieszczące chudość świata. Kebaby, które dawno wyzbyły się swojej narodowości. Mieszanki orzechów i ziaren, polane czekoladą i z zapartym tchem czekające na kolejne testy, kolejne sprawdziany. Kupione na wyprzedazach zupki chińskie, oszczędzające każdy grosz, by uzbierać kiedyś cały ich stos. *Powiedz mi, co jesz, a powiem ci, kim jesteś*. Słodko – kwaśny sos życia, który jakoś każdemu przypadł do gustu, nie każdy jednak ma ochotę się nim dzielić. To widział i to obserwował – w tym miejscu, dziecięciu matki, której na imię było Kapitalizm a na nazwisko Polska.

Dla niego miejsce to wcale nie nazywało się *ANATOMIA KAWY*. Dla niego było to *SPOŁECZEŃSTWO*.

Opowiadanie odwołujące się do naczelnej zasady warsztatu pisarskiego, według której u podstaw sztuki pisania leży sztuka obserwacji. Przesiadujący w kawiarni narrator utworu jest tu kimś w rodzaju medium, przez które przepływa strumień cudzych rozmów i zachowań. Umiejętne opisy detali rzeczywistości (przedmioty, strzępy dialogów) mieszają się z krytycznymi względem nich refleksjami narratora, próbującego skonstruować na tej podstawie obraz społeczności, w której żyje.



Wyróżnienie

w grupie wiekowej 16–19 lat

KAMIL MROZIUK

Z NOWEJ SOLI, 18 LAT

Ku ostoi

Rok 2025.

Telewizor w spróchniałym mieszkaniu przy dawnej ulicy Rejowej z trudem odtwarzał nadawane z dalekich stron wiadomości. Sygnał był przerywany raz po raz przez zakłócenia, spowodowane odległością od centrali. Urządzenie było, mogłoby się wydawać, z innego świata, jeśli spojrzymy na otoczenie, w jakim się znajdowało: poobdzierane z dawniej pięknych tapet ściany drewniane, gdzieniegdzie poprzebijane przez jakieś pręty; wysoki sufit, z którego co rusz sypał się gruz i niewiadomo było, czy zaraz nie runie oraz drzwi – brązowe i trzymane w zawiasach raczej tylko dzięki pobożnym prośbom domowników aniżeli robocie nieistniejącego już zapewne budowniczego. Mała kuchenka, wyposażona w kilka garnków i piecyk była umiejscowiona tuż przy wejściu i zajmowała większą część jednopokojowego mieszkanca. Obok niej stał niewielki stolik, na którym stały opróżnione do połowy szklane butelki, z dwoma krzeselkami, a jeszcze dalej, przy przeciwległej ścianie – łóżko. Nieduże, ale, jakby się postarać, dla dwóch osób. Było oświetlone przez jedyne okno w mieszkaniu, będące tuż nad łóżkiem.

Było zajęte przez chrapiącego mężczyznę, któremu dźwięki z telewizora widocznie nie przeszkadzały. Spał bez przykrycia, w szarej koszuli z krótkimi rękawami i w lekko podartych jeansach. Popołudniowe promienie słońca padały mu na twarz. Póki co nawet i to nie przeszkadzało mu we śnie, dochodzące zza okna odgłosy kotów, przeładunków i ludzkich głosów z dołu – również.

„To już czwarty dzień po wybuchu Savika–19, a my dalej nadajemy, specjalnie dla was. Podajemy najnowsze wyniki prosto z Nowego Jorku” – mówiła młoda prezenterka i nagle na ekran wszedł starszy mężczyzna w okularach i białym fartuchu, zabierając głos: „Zaczynamy prace nad lekami przeciwpromiennymi oraz szczepionkami, które pomogą tym, którzy przeżyli, lecz stali się ofiarami różnej maści chorób i znanej nam jedynie z przesłanek nowej zarazy popromiennej, która zdaje się mutować tkanki, z którymi się zetknie. Wszystko jest pod kontrolą. Podam teraz najnowsze statystyki osób zabitych i zaginionych oraz obszary, które lepiej natychmiast opuścić...”. Kolejne dziesiątki tysięcy, miliony i miliardy były codziennie wymieniane o tej samej godzinie na tej samej, jedynej już stacji w starym telewizorze.

Savik–19, zwany przez wszystkich ocalałych Ostatnim, był ostatnią rakieta jądrową wystrzeloną pięć lat temu podczas Wielkiej Wojny przez Rosję w kierunku USA. Trajektoria lotu nie została odpowiednio obliczona i bomba spadła w regiony Europy Środkowo–Zachodniej, a konkretnie – w samo serce Pragi. To ona zakończyła konflikt, ciągnąc za sobą jednocześnie ostatni niezniszczony walkami region świata. Sama wojna zaczęła się w 2019

roku, kiedy to wojska Unii wtargnęły na tereny neutralne pomiędzy Rosją a Szwecją. Moskwa uznała to za prowokację i odpowiedziała. Z początku zupełnie nic nie zapowiadało zagłady – konflikt był o charakterze lokalnym i był prowadzony głównie w dawnej Finlandii. Dopiero po roku walk Chiny oskarżyły o pomoc Unii USA i rozpoczęły działania zbrojne. Trudno powiedzieć kto konkretnie w tym całym zamieszaniu politycznym jako pierwszy użył Broni Ostatecznej. Jednak jedno jej użycie spowodowało cały szereg takich samych działań odwetowych, które w ciągu kilkunastu godzin spowiły Ziemię dymem, toksycznymi oparami i dewastacją środowiska.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem i do środka weszła powolnym krokiem kobieta. Była ubrana w obcisłą bluzkę z ciemnymi paskami i szarą bluzę z kapturem. Niosła pakunek na plecach, który po wejściu do mieszkania od razu położyła na stoliku. Usiadłszy na krześle, odetchnęła ciężko i rozsiadła się, przymykając oczy na chwilę. Miękkie rysy jej twarzy, delikatny nos i ciemne, spięte w kitkę włosy sprawiały, że dziewczyna wyglądała ładnie, pomimo umorusanych policzków i rozbitej wargi.

– Która godzina? – mruknął mężczyzna, leżący tyłem do dziewczyny.

– Dochodzi dwudziesta – odpowiedziała, nie otwierając oczu.

Obrócił się na plecy i przeciągnął leniwie, podkładając dłonie pod głowę. Spojrzał na dziewczynę i uważnie się jej przyjrzał, po czym lekko się uśmiechnął i powrócił wzrokiem na sufit.

– Ilu ich było? – spytał.

– Trzech – westchnęła.

Mężczyzna spojrzął za okno, przeciągnął się jeszcze raz i wstał z łóżka. Teraz dziewczyna otworzyła lekko oczy. Marcus był dobrze zbudowanym mężczyzną z widocznym zarostem i ciemnymi, zmierzwionymi włosami, na oko tuż po trzydziestce – dość wyraźnie starszy od dziewczyny. Jednym słowem – przystojny. Poszedł do stołu i spojrzął na torbę. Wziął do ręki szklaną butelkę, opatrzoną jakąś podartą etykietą, i pociągnął kilka łyków przezroczystego napoju. Oblizał się i spojrzął na dziewczynę.

– No... powiedz coś – odezwała się w końcu po dłuższej chwili ciszy. – Nie mogę się doczekać, aż mnie ochrzaniś.

Marcus nie odezwał się, lecz odłożył butelkę i poszedł do kuchenki. Sięgnął do szafeczki i wyciągnął z niej bandaż, gaziki i wodę utlenioną. Zrzucił ciężką, jak się okazało, torbę na ziemię i przysunął krzeselko bliżej dziewczyny. Położył medykamenty na stole i wyjął kilka gazików z pudełeczka.

– Chodź no tu – burknął, przykładając namoczoną wodą gazę do poranionego policzka. Wykonywał powolne i staranne ruchy, stopniowo oczyszczając ranę.

– Zdobyłam wszystko, o co mnie prosisz – powiedziała, gdy brał się za drugi policzek. Syknęła nieco, gdy rana zapiekła. – Okazało się, że szpital przy Niepodległości jest jeszcze nie przeszukany, dasz wiarę? – Obserwowała jego twarz, gdy przemywał jej rany. Trochę irytowało ją jego milczenie, ale z drugiej strony znów go nie posłuchała. Zamiast pójść i wziąć co trzeba, jak zwykle wdała się w kolejną bójkę.

Gdy skończył przemywać jej policzki i wargi, zdjął z niej bluzę i podwinął rękaw, ujawniając szeregi ran ciętych. Jedyna była głęboka. Polał ją szybko wodą utlenioną i nie zważając na krzywienie się dziewczyny zaczął obwiązać bandażem. Zsunął rękaw i oglądnięt jej twarz jeszcze raz.

– A więc trzeba będzie się tam wybrać – oznajmił i usiadł na łóżku, popijając wodę z butelki.

Dziewczyna wstała i przeszła się w stronę kuchni.

– Słyszałeś najnowsze wiadomości? – spytała, otwierając jedną z szafeczek.

– Nie – odparł ponuro Marcus. – Codziennie puszczają te tuż po Ostatnim.

– Brooklyn został odseparowany i stworzono z niego osobny, oddzielony murem dystrykt. Rządowi mają zamiar przeprowadzić tam Czystkę, bo jest zbyt wielu zarażonych.

Nowy Jork od kilku miesięcy był szturmowany przez kolejne chmary zmutowanych i zarażonych. W ciągu roku ściągnięto tam wszystkich pozostałych żołnierzy z Europy Zachodniej, aby pomogli się utrzymać. Tym samym Stary Kontynent został ostatecznie porzucony. Jednak Marcus rozumiał decyzję Rządu. Nie było tu już nic, poza Lizboną, czego można byłoby bronić.

– Hm. – Dziewczyna skończyła przeglądać ostatnią szafkę. – Widzę, że skończyły ci się bandaże, woda utleniona i cała reszta leków. – Obróciła się do niego, opierając się o kuchenkę. – Kiepsko ci zleciał ten tydzień.

– Tess... daruj sobie – mruknął ponuro Marcus, chowając twarz w dłoniach. – Nie miałem ostatnio siły na samowolne wypadki na miasto. Jeszcze ta cholerna noga...

– Wiem, staruszkule – uśmiechnęła się lekko. – Polepszyło się coś?

– Nie tak, jak przewidywałam.

– Niestety, nie mamy już czasu na twój dalszy odpoczynek i lenistwo. – Podeszła energicznie do torby i postawiła ją na stole. – Musimy odzyskać od Andersa jeńców. Prędzej czy później zorientują się, że w mieszkaniu ktoś jest.

– Nie zorientują – odparł Marcus i dopił do końca wodę. – Nie zapalam świateł, chodzę praktycznie na kuckach, nie biorę zwierząt, a czasem nawet nie wstaję.

– Ale telewizor to już włączasz – rzuciła, odwiązując sznurek, trzymający torbę zamkniętą.

Marcus nie skontrował, lecz rzucił butelką w pod łóżko i obrócił się by spojrzeć za okno. Na skraju Bristolu, a raczej tego, co z niego zostało, było spokojnie od kilku tygodni. Ocalali nie wchodzili w drogę portowym przemytnikom i nie było spięć. W tych rejonach miasta nie było też zarażonych, co również ułatwiało życie. Jednak powojenna rzeczywistość nie potrzebowała zmutowanych ludzi czy strzałów, aby przygnębiać i męczyć psychicznie.

– Co tam przyniosłaś – powiedział, podnosząc się z łóżka i podchodząc do stołu.

– To, o czym rozmawialiśmy tydzień temu – oznajmiła, gdy Marcus znalazł się przy niej. – Dwa Colty, dla mnie i dla ciebie. – Wyjęła pistolety i położyła na stole. – Po jednym magazynku, więc będziemy oszczędni. Nowe bandaże, posypki krzepiące, środki przeciwbólowe, aspirynę i...

– Nie widziałem wcześniej tej czapki – wskazał na czarną czapkę z daszkiem, leżącą na krześle. – Skąd ją masz?

– Zdobyłam. W szpitalu było takich dwóch...

– Tess...

– Nie marudź. Bierz pistolet i idziemy.

Niechętnie, acz posłusznie, Marcus zrobił co kazała mu dziewczyna. Wsadził pistolet za pasek od spodni, wziął do kieszeni bandaż i magazynek, po czym ruszyli w kierunku drzwi.

II.

Nawet wielka katastrofa nie powstrzymała ludzi przed wewnętrznymi podziałami i brakiem współpracy. Rzecz by można, że śmierć i zniszczenie podzieliło ocalałych jeszcze bardziej, niż dobrobyt i dostatek ludzi sprzed Wielkiej Wojny. Prawda, nie prowadzono już wojen. Jednak dalej występowały frakcje, ugrupowania polityczne i społeczne, które znacznie dzieliły ludzkość przed 2020 rokiem. Wtedy walczono o ziemię, przywileje, dla pieniędzy, teraz – dla jedzenia, leków i broni. Spośród wszystkich tych, którzy ukryli się w kryptach, podziemiach lub byli w południowej części Ameryki Południowej, wyróżniły się cztery główne frakcje, rywalizujące ze sobą o miejsce w nowym porządku.

Bandyci, cywile, rebelianci i Rząd. Walczyły ze sobą nawzajem o to, co pozostało z tego świata. Mimo tyranii Rządu celem wielu ocalałych stało się dotarcie do Nowego Jorku w poszukiwaniu lepszego życia.

– Podsadzę cię.

– Okej.

Marcus stanął pod wysokim płotem, stanowiącym jedno z wejść do dzielnicy portowej. Splótł dłonie i podsadził Tess, która wspięła się i przeskoczyła na drugą stronę. Marcus włożył nogę w jedną z kratek w płocie i również wspiął się na samą górę, po czym zeskoczył obok. Tess spojrzała na niego i na jego nogę.

– W porządku, Marc?

– Boli jak cholera – mruknął sfrustrowany mężczyzna i pomasaował kolano. – Chodźmy. Uchodźcy nie mogą dłużej czekać.

Tess przytaknęła i ruszyli wąską uliczką.

Szli przez przedsiionki doków, zmierzając na skraj wielkiego portu, do przystani. Tam swoją siedzibę miał Anders. To tam miał przetrzymywać poszukiwanego przez nich człowieka, który, według Tess, miał znać sposób na przedostanie się przez Zatokę Vixe, dawny Kanał La Manche. Znali się z Tess od prawie dwóch lat. Marcus Bancroft przed wojną służył w I. Korpusie Unii, elitarniej formacji wojsk Unii. Po katastrofie postanowił zostać i szukać swej żony. Po półtorej roku poszukiwań odnalazł swój stary dom wśród zgliszczy i swoją żonę. Zastrzelił ją, gdy w bezmyślnej żądzy krwi rzuciła się na niego z kłami. Tess zaś była na trzecim roku studiów prawniczych na Harvardzie kilka miesięcy przed wybuchem wojny. Miała już zapewnioną pracę w sądzie w Londynie, gdy ogłoszono stan wyjątkowy i ludzie uciekali do podziemi, a kilka godzin później na Europę spadły bomby. Po katastrofie postanowiła zebrać się w sobie i pomóc londyńskiemu ruchowi przetrwania, jednak po jego pacyfikacji przez Rząd uciekła na zachód, zaprawiając się w sztuce przetrwania po drodze, aż dotarła do Bristolu. Tam z kolei znalazła tylko skłóconych ocalałych i powstającą wtedy bandę Andersa. Została w końcu napadnięta przez jednego z nich podczas przeszukiwania

apartamentów. Marcus ścigał wtedy ludzi Andersa Mavikssena i tak znalazł maltretowaną Tess. Wbił w bandytę maczetę i wyrzucił go za okno, a dwudziestodwuletnią dziewczynę przygarnął do siebie. Polubił ją, a ona była w niego bardzo zapatrzona.

Mijali kolejne zrujnowane domostwa, kamienice i bloki, aż miasto zaczęło przyjmować bardziej portowy obraz. Kamienice zastąpiły hangary i kontenery, a ciasne zabudowania ustąpiły miejsca szerokim placom załadunkowym i zniszczonym drogom. Cały port był pod kontrolą ludzi Andersa, toteż od pewnego momentu Tess i Marcus musieli się skradać. Przeszli przez rozległą ulicę i stanęli pod dużą, stalową bramą, rozciągniętą pomiędzy dwoma budynkami. Nad nią wisiał rozległy szyld: „Port Anders”.

– Jego ego nie zna granic – powiedział Marcus.

– Musimy znaleźć inną drogę – rzuciła Tess i szturchnęła Marcusa w ramię, a następnie ruszyła energicznie w kierunku pierwszego budynku obok bramy. – Sprawdź tamten – wskazała na duży, murowany magazyn, który znajdował się po prawej stronie bramy. Bancroft pobiegł w jego kierunku i stanął pod mosiężnymi drzwiami do środka. Nacisnął klamkę, uderzył kilka razy, lecz nie ustąpiły. Spojrzał na Tess, która klęczała przy drzwiach i coś majstrowała. Podszedł do niej prędko i rozejrzał nerwowo dookoła.

– Pośpiesz się. Pewnie już wiesz, że jesteśmy w portowej.

– Przez ostatni tydzień zdjęłam jedynych dwóch obserwatorów w tym sektorze – mówiła, operując zamek wytrychami. – Jeden był w tym magazynie, który sprawdzałeś, a drugi w oknach nad nami. – Nie minęło dziesięć sekund, a drzwi stały otworem. – Sam zresztą zobaczysz – oznajmiła, wstając i chowając wytrychy do przybornika za pasem.

– Prowadź – rzekł Marcus i rozejrzał się jeszcze raz, puszczając dziewczynę przodem. Weszli do budynku i zatrzasnęli za sobą drzwi. Znaleźli się w zakurzonej klatce schodowej, wykonanej praktycznie w całości z drewna. Weszli powoli po schodach, docierając przed jedyne niezagruzowane drzwi. Tess otworzyła je powoli i zajrzała do środka, podczas gdy Marcus wyjrzał przez okno na podwórze. Rysował się przed nim widok całej przystani. Mrowie hangarów, kontenerów, portowych biur i dużych hal wyglądały na niezamieszkałe, ale oczywistym było, że wszędzie kręcili się ludzie Andersa. Gdzieś w środku całej panoramy Bancroft dostrzegł duży kompleks hangarów z dźwigami oraz wielki, brązowy budynek – stocznię. To tam była siedziba Andersa i prawdopodobnie tam znajdowali się jeńcy.

– Właź do środka. – Marcus usłyszał głos Tess z wnętrza mieszkania i wszedł za nią, zamykając drzwi. Pokój był dość przestronny, ale strasznie zagracony. Pomiędzy różnymi meblami i przedmiotami była utorowana droga na wprost od drzwi. Prowadziła do okna i małego stolika oraz materacu. Marcus podszedł powoli do wyglądającej przez okna Tess i leżącego obok mężczyzny z chustą na twarzy. Miał rozcięte gardło.

– Ładnie – stwierdził, nachylając się nad denatem.

– Weź od niego gnata. Przyda się – rzuciła, idąc w prawo, w kierunku zablokowanych drzwi. On wyciągnął pistolet z dłoni pokonanego i wsadził za pas. Potem poszedł śladem przyjaciółki. – Pomóż mi – wskazała na wielką belkę, blokującą drzwi do sąsiedniego pomieszczenia. Marcus chwycił belkę i we dwoje zdołali ją przesunąć, odblokowując przejście. Marcus położył Tess rękę na ramieniu, gdy chciała przejść.

– Lepiej uważajmy. Pójdę przodem – powiedział, wymijając ją tuż przed jej twarzą. Przytaknęła i odsunęła się lekko. On stanął przy drzwiach powoli je otworzył. Smród rozkładu ciał od razu uderzył w ich nieprzygotowane nozdrza aż zakręciło im się w głowie. W całym pokoju pełno było ciał, również tych zmutowanych.

– Jezu... – Tess zatkała nos. – To pewnie miejsce, gdzie Anders „chowa” swoich ludzi.

– Przejdźmy przez to szybko.

Wyszli na równie zaśmiecony balkon, znajdujący się obok i Marcus podniósł zwiniętą linę spod nóg. Przywiązał ją do niepewnej już barierki i zszedł pierwszy na dół, lądując na ulicy. Potem schodziła Tess. Barierka jednak nie wytrzymała i puściła, a Tess wylądowała na plecach Marcusa.

– Mogłaś powiedzieć, że bolą cie nogi – wykrztusił razem z kurzem.

– Poniósłbyś mnie?

– Nie, ale współczułbym ci szczerze.

Podnieśli się, otrzepali i ruszyli do przodu.

Słońce już prawie zaszło i przystań Bristolu zaczynała przywdziewać mroczne szaty. Nadciągające z nad reszty miasta czarne chmury oznajmiały, że zapowiada się deszczowa, a może nawet i burzowa noc. Świerszcze zaczynały już koncertować, gdy Bancroft i Tess przemierzali przestrzeń między kontenerami i magazynami, unikając tym samym wieczornych patroli ludzi Andersa. Noc była bez wątplenia sprzymierzeńcem bohaterów, lecz kazała na siebie jeszcze trochę poczekać. Mijali kolejne biura, posterunki i stanowiska uzbrojonych po zęby bandytów i szmuglerów. Przecisnęli się razem pomiędzy kolejnymi kontenerami i wyszli na dużą przestrzeń, na której osłonę przed niechcianym wzrokiem zapewniały jedynie skrzynie i pakunki. Podbiegli więc za jeden z nich i kucnęli.

– Trochę ich tam sporo – wysapała Tess. – Spróbujemy załatwić to po cichu. Naśladuj. – Podbiegła po cichu do jednego z patrolujących plac strażników, wyciągnęła nóż z nogawki i rozcięła mu gardło, chowając go za skrzynię. To samo zrobiła z jego kolegą obok. Marcus przekradł się pomiędzy skrzyniami w jej kierunku i razem weszli do magazynu, zamykającego cały plac. Zdjęli kolejnego bandziora i Marcus wszedł po schodkach na piętro, a Tess została pod zamkniętą bramą. Brunet wszedł do oszklonego gabinetu kontrolnego i pociągnął za dźwignię. Brama zaczęła się podnosić. Przecisnęli się pod nią i podbiegli pod mur, oddzielający ich od kolejnego obszaru.

Rozciągał się przed nimi jeszcze większy plac, pełen ludzi. Na jego końcu była wielka, blaszana stocznia z małą wieżą po środku. Na samym placu kręciło się mnóstwo osób, zarówno uzbrojonych, jak i robotników. Przenosili ładunki na zacumowany statek, wynosili je z sąsiednich magazynów, naprawiali ściany – a to wszystko pod okiem co najmniej tuzina uzbrojonych siepaczy. Przy wejściu do stoczni wyróżniało się dwóch rozmówców. Jeden z nich nosił czarne palto i beret, a drugi był gruby i trzymał na ramieniu ogromny pręt.

– Patrz. To Anders – szepnęła Tess, wskazując na mężczyznę w palcie, jakby rozkazującego drugiej postaci.

– Proponuję się przekraść. Przynajmniej do stoczni – mówił Marcus, wyglądając zza murka. – Jest ich zbyt dużo, żeby się przerąbać.

– Słuchaj, plan jest taki – zwróciła się do niego i zdjęła czapkę. – Przekradamy się do stoczni, odnajdujemy jeńców i czym prędzej się stąd zmywamy do mieszkania B. Potem się zobaczy. Wchodzisz w to?

– Niech będzie. Pójdę pierwszy. Gdybyśmy się rozdzielili, spotykamy się przy bocznym wejściu do stoczni. Żadnych samowolek, jasne Tess?

Kiwnęła głową i przeskoczyła murek, zeskakując w dół, Marcus za nią. Zadaniem karkołomnym jest przekradnięcie się koło tyłu strażników naraz. Jednak lata uczenia się sztuki przetrwania przez Tess i jeszcze dłuższy staż Marcusa w wojsku podziały. Marcus szedł łukiem wokół całego placu, kryjąc się za poustawianymi jakby specjalnie dla niego skrzyniami, wymijając całe zagrożenie. Tess szła w pięciometrowym odstępnie. Taką taktykę zachowali aż do momentu dojścia do przybudówki, dołączonej do stoczni, która zastaniała boczne wejście. Przystanęli na moment i spojrzeli po sobie.

– W porządku? – spytał protekcyjnie Marcus, a dziewczyna kiwnęła głową. Wtargnęli więc na teren stoczni małym wejściem i oniemieli, stając w środku. Ujrzeni olbrzymi okręt, zbudowany całkowicie z blach, złomu i drewna, już zwodowany, wokół którego wisiały rusztowania i pracowali ludzie. Miał jedno wielkie działo na środku i kilka małych po bokach.

– A więc to jest tajna broń Andersa – pomyślał głośno Marcus. – Mówią, że ma zamiar przepłynąć tym Kanał Mael (dawny kanał Bristolski) i dotrzeć do Lizbony.

– Chodźmy po jeńców – ponagliła dziewczyna. Schody na piętro mieli po prawej stronie. Marcus podkraść się do bandyty i zaczął go dusić, po czym schował go w zaułek. Wbiegli po schodach i dotarli przed uchylone drzwi do biura Andersa. Stanęli po obu stronach i nastuchiwali.

– Zapomnieliście chyba, miejska hołoto, że to ja tu rządę i to ja rozdaję karty. Jeśli ktoś próbuje mnie wydymać z interesu, ja dymam jego, zawszone brudasy. – Marcus wyrżał z za rogu i szybko zlustrował otoczenie. Anders, trzech jeńców i dwóch siepaczy. Schował się i pokazał Tess kilka gestów. Ona w odpowiedzi kiwnęła głową i wyciągnęła z za pasa nóż. Bancroft zdjął z pleców maczetę i przykleił się do ściany. – W sumie to powinniście się cieszyć, że wpadliście w moje ręce, a nie na przykład do tych szarlatańskich buntowników, co latają i strzelają do każdego. Który z was to Bruno Falcon? – Dwóch pojmanych spojrzało na środkowego. – Aaa, doskonale – uśmiechnął się Anders i pochylił w kierunku jeńca. – Mamy bardzo dużo do omówienia. Pozostałych dwóch możecie wywalić do morza. Tylko ten mi jest potrzebny.

Tess wychyliła się, żeby rzucić nożem w Andersa.

– Hej! Intruzi!

– Tess, na ziemię! – krzyknął Marcus, wyjmując colta z za pasa i strzelając w alarmującego wszystkich na dole strażnika, który już miał oddać strzał w Tess.

– Co się tam dzieje!?! – wrzasnął Anders. – Zabijcie tych pchlarzy! – wrzasnął raz jeszcze i wybiegł drugimi drzwiami z biura, zbiegając na dół.

Tess schowała już nóż i wyjęła swojego colta. Wychyliła się raz jeszcze i jednym strzałem powaliła pierwszego strażnika Andersa, a kolejnymi dwoma – następnego. Wbiegła do szklanego gabinetu, osłaniana przez Marcusa, strzelającego do nadbiegających bandytów

z dołu. Jednego z nich przyszpilił kilkoma strzałami i już przybiegło kolejnych trzech z zewnątrz. Schował się za balustradą i co chwila się wychylał, aby strzelić. Nie po to, by trafić, lecz żeby nie mogli podejść zbyt blisko i dać Tess czas na uwolnienie zakładników. Po chwili pociski latały już niemal wszędzie.

Tess podbiegła do jeńców, schowawszy broń za pas i przecięła więzy nożem.

– Pochylcie się! – Pociski latały im nad głowami i przebijały szklane ściany pomieszczenia biurowego, które pękały z hukiem. – Musimy się stąd zwijać! – przekrzykiwała. Spojrzała na jednego z martwych strażników i zobaczyła leżący karabin M4. Podniosła go i rzuciła Marcusowi, którego przyszpilił ogniem z parteru stoczni. – Musicie biec za mną tak szybko, jak potraficie!

Gdy Marcus zaczął ostrzał z karabinu, Tess wybiegła z biura razem z jeńcami, pochylając się. Jeden z nich już na starcie oberwał kulkę w ramię, lecz Tess ciągnęła go za sobą dalej. Zbiegli szybko po schodach w kierunku bocznego wyjścia. Pociski cudem omijały ich głowy i skakały po ścianach. Marcus wychylił się po raz ostatni i oddał serię, kładąc dwóch bandytów, po czym wyjął pistolet i pobiegł za Tess.

Tuż przy wyjściu drogę zagroziła mu gruba i nienaturalnie umięśniona postać, odrzucając go jednym uderzeniem pięści do tyłu. Leżąc spostrzegł Marcus między nogami nadchodzącego mutanta uciekającą Tess z jeńcami i bandytów biegnących w jej kierunku. Gdy mutant brał zamach wielką belką na Marcusa, mężczyzna przemknął szybko między jego nogami i kopnął w plecy. Wybiegł, zatrzasnąwszy wściekłemu wielkoludowi drzwi przed oczami. Biegł ile sił w nogach, wymijając robotników i odpychając kolejnych siepaczy. Czuł, że jakby jego ranna noga miała mu zaraz odpaść, lecz zmusił się do jeszcze ostatniego wysiłku. Mur, za którym będzie bezpieczny, był już niedaleko. Tess razem z jeńcami była już za nim i wybiegała z obszaru walk, gdy nagle jednego z nich położył snajper. Marcus obejrzał się za siebie podczas biegu i dostrzegł Andersa ze strzelbą, który o dziwo nie szył do niego, lecz chciał pozabijać jeńców za wszelką cenę. Gdy Bancroft wspinał się na mur, Anders położył trupem kolejnego z zakładników i zranił Tess w ramię, jednak ona z Brunem zdołała schować się za magazyn i uciec z regionu walk. Cały ostrzał skoncentrował się teraz na Marcusie, którego kule smagały co chwila i raniły boleśnie. Gdy stracił wszystkie siły i miał zamiar upaść, zza rogu wybiegły jakieś dwie zamaskowane postacie, które zawlekły go za róg, a potem jeszcze dwie z karabinami, które zaczęły strzelać do bandytów. Kątem oka i w ostatnim momencie Marcus dostrzegł kilkanaście kolejnych postaci, ścierających się z bandytami, odpychających ich ogniem z automatów.

Wyprowadzono go poza obszar walk, aż pod balkon, z którego zeskoczyli. Tam spotkali się z Tess, której rany opatrywał już jakiś człowiek, też zamaskowany. Jego ratownicy położyli go obok Tess. Oparł się o ścianę i spojrzał na nią.

– Mamy go? – wysapał. Ona spojrzała na siedzącego obok zakładnika, jedyne, który przeżył.

– Ty jesteś Bruno Falcon? – Mężczyzna kiwnął głową. – Wiesz jak przepłynąć Zatokę Vixe?

– Wiem nawet jak dość pod Paryż. Tylko zapewnijcie mi bezpieczeństwo...

Tess obróciła się do rannego Marcusa, cały czas opatrywana przez tajemniczego mężczyznę.

– Tak. Mamy go.

Bardzo sprawnie napisane opowiadanie w konwencji literatury sensacyjnej. Dobrze prowadzone dialogi, dobre tempo akcji. Uwagę zwraca też sposób, w jaki autor utworu kreśli tło wydarzeń oraz zarysowuje przestrzeń, w której się one toczą – środki stylistyczne są ograniczone do niezbędnego minimum, a jednak całość jest wyrazista i przemawia do wyobraźni czytelnika. Tekst mógłby z powodzeniem stanowić rozdział powieści.



SPIS TREŚCI:

| | |
|---|-----------|
| Jury Przeglądu | 3 |
| Fundatorzy nagród i przyjaciele Przeglądu | 3 |
| dr hab. Iwony Gralewicz – Wolny | |
| Przedmowa przewodniczącej jury | 5 |
| Nagroda specjalna UWAGA "TALENT" w dziedzinie LITERATURA | 7 |
| Marta Tychowska z Biedrzychowic Dolnych, 17 lat | |
| "Żęsknota" | 9 |
| Komentarz | 10 |
| POEZJA | 13 |
| Wyróżnienie za wiersz w grupie wiekowej 10-12 lat | 15 |
| Tatiana Łoskot z Katowic, 12 lat | |
| "Kalendarz pogody" | 17 |
| Komentarz | 18 |
| II nagroda za zestaw w grupie wiekowej 16-19 lat | 19 |
| Marta Tychowska z Biedrzychowic Dolnych, 17 lat | |
| "Epilog" | 21 |
| "Lete" | 22 |
| PROZA | 25 |
| I nagroda w grupie wiekowej 10-12 lat | 27 |
| Julia Kasprzak z Dąbrowy Górniczej, 12 lat | |
| "Ruda" | 29 |
| Komentarz | 34 |
| II nagroda w grupie wiekowej 10-12 lat | 35 |
| Martyna Sikora z Rudy Śląskiej, 12 lat | |
| "Droga do wspomnień" | 37 |
| Komentarz | 45 |

| | |
|---|------------|
| Wyróżnienierównorzędne w grupie wiekowej 10-12 lat | 47 |
| <i>Aleksandra Klucznikow z Paweli Małej, 12 lat</i> | |
| "Zostań ze mną" | 49 |
| Komentarz | 55 |
| Wyróżnienierównorzędne w grupie wiekowej 10-12 lat | 57 |
| <i>Michał Hoffmann z Katowic, 12 lat</i> | |
| "S-F" | 59 |
| Komentarz | 64 |
| I nagroda w grupie wiekowej 13-15 lat | 67 |
| <i>Julia Maroszek z Pszczyny, 14 lat</i> | |
| "Kronika martwych skrzydeł" | 69 |
| Komentarz | 72 |
| II nagroda w grupie wiekowej 13-15 lat | 73 |
| <i>Paulina Tyc z Paweli Małej, 13 lat</i> | |
| "Więzień umysłu" | 75 |
| Komentarz | 83 |
| III nagroda w grupie wiekowej 13-15 lat | 85 |
| <i>Julia Lipska z Człuchowa, 13 lat</i> | |
| "O Fryderyku i wyjątkowo denerwującym duchu z cukierni" | 87 |
| Komentarz | 89 |
| Wyróżnienie w grupie wiekowej 13-15 lat | 91 |
| <i>Maciej Szczepanik z Rybnika, 14 lat</i> | |
| "Spełniona przepowiednia" | 93 |
| Komentarz | 100 |
| II nagroda w grupie wiekowej 16-19 lat | 103 |
| <i>Filip Nowak z Góry Siewierskiej, 16 lat</i> | |
| "Na skraju" | 105 |
| Komentarz | 107 |

| | |
|--|------------|
| III nagroda w grupie wiekowej 16-19 lat | 109 |
| <i>Aleksandra Lipecka z Kielc, 18 lat</i> | |
| <i>"Anatomia kawy"</i> | 111 |
| <i>Komentarz</i> | 117 |
| Wyróżnienie w grupie wiekowej 16-19 lat | 119 |
| <i>Kamil Mroziuk z Nowej Soli, 18 lat</i> | |
| <i>"Ku ostoi"</i> | 121 |
| <i>Komentarz</i> | 130 |
| Spis treści | 131 |

